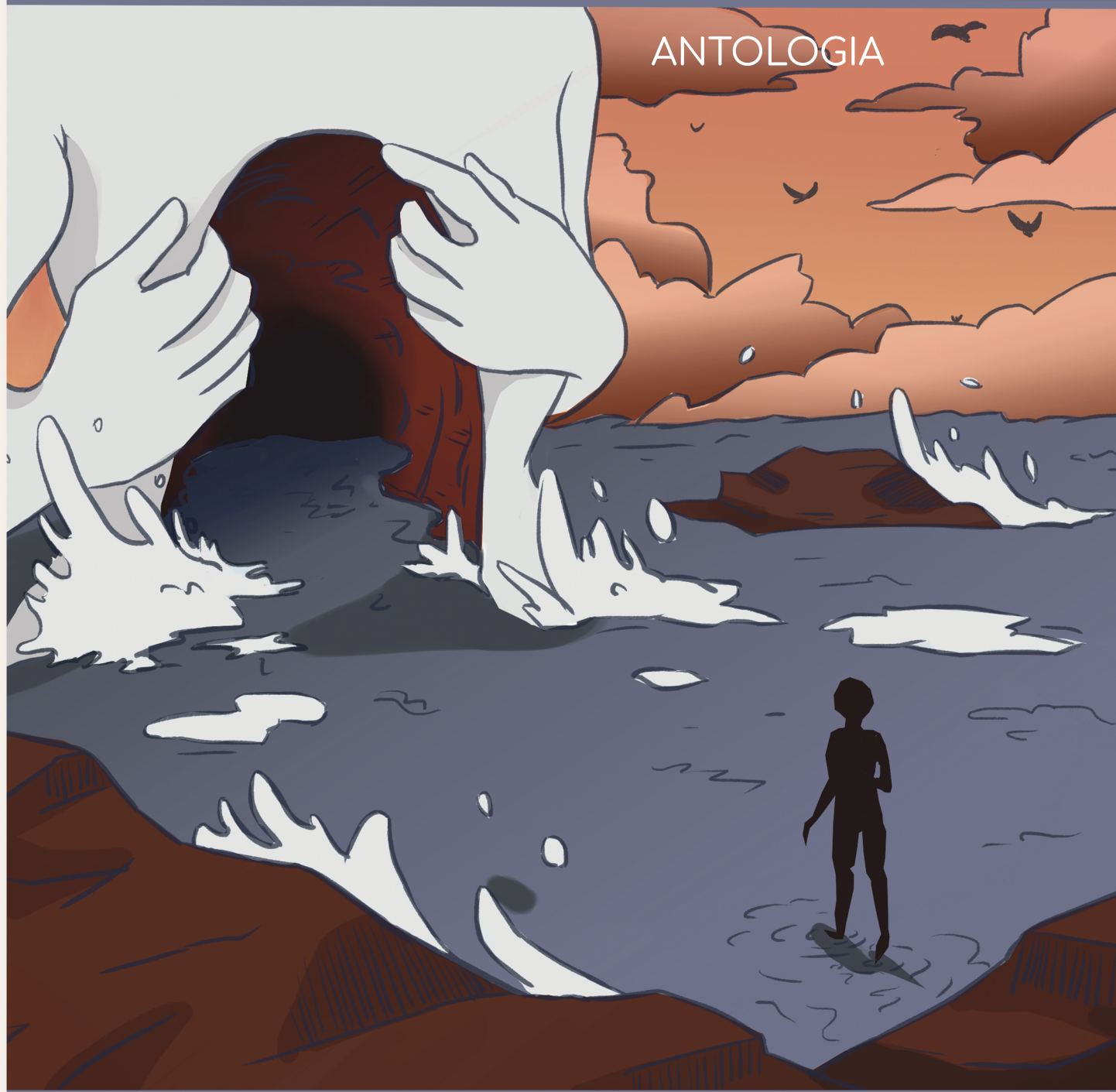




BEZ OGRANICZEŃ



ANTOLOGIA

BEZ OGRANICZEŃ

ANTOLOGIA

Copyright © by

Beniamin Barczyński, Daria Chowaniec, Anita Głowacka, Agata Gołąbek,

Miłosz Jędrysik, Marta Klon, Marlena Mitka, Dorota Morzywołek,

Kinga Paterak, Małgorzata Poręba, Angelina Stelmach, Ilona Studzińska

Katowice, 2022

Projekt okładki: Krystyna Wojtas

Korekta: Anita Głowacka, Agata Gołąbek

Skład: Tomasz Kielkowski

Prowadzący zajęcia: Tomasz Kontny

SPIIS TREŚCI

Beniamin Barczyński GESTALT ALTER POETRY (<i>OR: THE LIFE OF A BRAVE MAN</i>)	7
Daria Chowaniec PIEKIELNY KRAĞ	13
Anita Głowacka WESTERN WHITE LEFTIST CORE	21
Agata Gołabek FORTEPIAN W GŁĘBI LASU	27
Miłosz Jędrzyk BURZA	33
Marta Klon SIEDEM PRZYKAZAŃ SZCZĘŚLIWEGO ŻYCIA	37
Marlena Mitka SZAROŚĆ	45

Dorota Morzywołek DROGOWSKAZY. O ŚMIERCI, KTÓRA ZGUBIŁA DROGĘ	51
Kinga Paterak KIEDY O ZMARŁYCH MÓWI SIĘ ŻLE	57
Małgorzata Poręba BEZ OGRANICZEŃ	65
Angelina Stelmach DZIECI Z HAMELN, CZYLI O TYCH, KTÓRZY NIE WRÓCILI	75
Ilona Studzińska UWAŻAJ NA SIEBIE	79

Beniamin Barczyński

GESTALT ALTER POETRY

(OR: THE LIFE OF A BRAVE MAN)

W piekielnym pociągu, którym jechałem poprzez sny, widziałem go wielokrotnie. Spoglądałem z narastającym zaintrygowaniem, jak ów pisarz przy każdym swoim kolejnym dziele rozpada się boleśnie, a ubytki szaleńczo uzupełnia wspomnieniami kobiet, które kiedyś były mu bliskie. Moje zaintrygowanie szybko przerodziło się w przerażenie, gdyż ja także zajmuję się słowem.

Choć imię tamtego pisarza znam bardzo dobrze, to jego samego prawie w ogóle. Chcę go poznać, ale mogę to zrobić tylko poprzez odbicie w oczach pięknych i martwych Lenory, Ligei i Annabel Lee. Niestety, w tym osobliwym zwierciadle zawarło się tak niewiele, że resztę muszę dać od siebie.

VIII. Odpowiedzialność

*Jest ponad wszelką wątpliwość, iż śmierć jednej kobiety
może trwale naznaczyć lub nawet zniszczyć
życie niejednego mężczyzny.*

Maska tragedii jest bardzo ciężka. Dla własnego dobra zerwij ją i skończ lamentować. Zorganizowałeś sobie życie w obliczu tej jednej czy kilku śmierci, ale starczy tego. Mam prośbę: powtarzaj za mną. Możesz w te słowa z początku nie wierzyć, ale nie szkodzi. Z czasem zrozumiesz.

„Robię swoje i ty robisz swoje. Nie jestem na tym świecie, aby żyć według twoich oczekiwań i ty nie jesteś na tym świecie, by żyć według moich. Jesteś sobą, a ja jestem mną. I jeśli jakimś przypadkiem znajdziemy siebie nawzajem, będzie to piękne. Jeśli nie, nic na to nie da się poradzić.”

Każdy człowiek żyje tu i teraz, tocząc cichą walkę z pozornym absurdem wszystkiego, co go otacza. Zaś ci, którzy tego nie robią, to marzyciele lub cierpiętnicy – istoty słabe, poddające się swoim namiętnościom. To, co ich definiowało, umyślnie przenieśli ku innym obiektom i był to ostatni akt ich świadomości. Chcesz wyrwać się z tego? Na powrót weź odpowiedzialność za własne czyny. A dokonać tego można poprzez nic innego, jak właśnie czyn. Ale nie jakikolwiek – tylko taki, który zaburzy tak drogo dotąd utrzymywany *status quo*.

Rozwiązanie jest proste, choć okrutne:

Należy przestać kochać.

VII. Ja—Ty

„...i tylko Ty.”
Tak obiecywałem.

Aby nawigować po morzu, potrzebujesz punktu odniesienia – gwiazd. One w swojej mnogości i odległości przekazują ci, gdzie jesteś oraz dokąd możesz zmierzać. Z ludźmi jest podobnie – przekazują ci, kim jesteś oraz kim możesz się stać. Bez ludzi, bez kontaktu z nimi jesteś wolny. Gdyż wtedy jesteś nikim.

Nawet najjaśniejsza gwiazda, z najsilniejszym sercem – taka, która będzie płonąć w przestrzeni poprzez eony – jest kiepskim punktem odniesienia, jeśli jest tylko jedna. Natomiast gwiazda, która jest za blisko, staje się słońcem. Nie sposób bez niego żyć, ale patrząc tylko w nie, prosimy się o ślepotę. I przede wszystkim niezwykle trudno być w jego blasku absolutnie cały czas.

Lecz gwiazdy to tylko gwiazdy. Nie zmieniają się, ilekroć w nie patrzymy. Z drugim człowiekiem jest inaczej. Każde spojrzenie zmienia ciebie, jego i relację między wami. To jest ta rzeka, do której nie można wejść po raz wtóry. Nieważne, jak żarliwa będzie twoja modlitwa i jak poetyckie żale będziesz wygłaszał – woda opadła. Miast niej będzie ziemia lub ogień.

VI. Samoregulacja

Popadłem w obłąd.
A w tym upadku
najgorsze były momenty wzlotów.
„Nagle rozbrzmiało stukanie.”

Nie. Nie było ono nagłe. Do tego stukania przygotowywałeś się przed długi czas. Nie potrafiłeś się rozstać – odejść i zaakceptować jej odejścia. Za to potrafiłeś zaakceptować własną powolną śmierć z tęsknoty i szaleństwa. Stworzyłeś całą narrację wokół tego i była ona równie piękna jak kobieta, którą oplakiwałeś. Ale łatwo jest tę narrację przejrzeć, bo sam dajesz ku temu znaki. Każdy wie, że kiedy kruk otworzył swój dziób, to tak naprawdę *ty* mówiłeś: „Nigdy już”.

Jest jednak coś, czego nie byłeś świadomy. Iż to, co zrobiłeś, to był krok ku wyzwoleniu. Mały i powolnie wykonywany, ale ostatecznie zaistniały. Wtłoczyłeś swoją żalobę w ramy. Innymi słowy, ograniczyłeś ją. Tak właśnie należy robić. Skoro teraz o tym wiesz, to kolejne kroki będą już większe i szybsze, bo świadome. I o to w tym wszystkim chodzi.

V. Świadomość

*Jeśli jestem stworzony na podobieństwo Boga,
to czy On także może być w żałobie?
A jeśli tak, to po jakim kosmicznym horrorze?*

Kiedy byłem dzieckiem, postanowiłem, że nigdy nie będę pił alkoholu. Tak po prostu, bez żadnego powodu – bo byłem za mały, by wiedzieć, jaki dokładny wpływ ma alkohol na ludzki organizm... i kwestie towarzyskie. Uświadomienie sobie tej drugiej strony to było największe negatywne zdziwienie w moim życiu. Niezależnie od tego dochowałem swojego postanowienia i dochowuję nadal. Ale nie dlatego, że moje dziecięce „ja” było takie stanowcze. Nie. Nie piję alkoholu, ponieważ na krótko przed tym, kiedy miałem prawnie wejść w dorosłość, mój ojciec na mojej matce pokazał mi, jaka jest najgorsza strona tego „hobby”.

Alkohol tępi zmysły, spowalnia myślenie – wyłącza świadomość. Ale jeśli człowiek o tym wie, a mimo to pije, to jak to o nim świadczy? W świecie idealnym jestem aniołem pośród potępionych. W świecie realnym jestem odszczepieńcem, renegatem, zdrajcą.

Człowiek czuje niezależnie od tego, czy obecnie jest świadomy, czy nie. Ale jeżeli nie jest świadomy, to równie dobrze może nie czuć nic, ponieważ z tych uczuć niczego się nie nauczy. Niewiele o tobie można się dowiedzieć, ale o twoim zamięłowaniu do zaburzaczy świadomości w różnej formie wie każdy. Sam o tym mówisz, bo widzisz w tym problem. I liczysz, że ktoś rozwiąże go za ciebie.

Jestem tym odszczepieńcem i żałuję, że tak jest, ale przysięga złożona matce niedługo po tym incydencie – że nie będę taki, jak ojciec – trzyma mnie w tym i trzymać będzie do końca życia. Ty też musisz być odszczepieńcem, dla samego siebie. Wiem, że nie będzie to łatwe. Ale regularnie wyłączając świadomość i odcinając się tym od zmysłów, nie masz żadnej kontroli nad tym, co zawsze jest przy tobie, choć czasami wydaje się przeciwnie – mam na myśli emocje. A jeśli nie będziesz miał kontroli nad emocjami, to będziesz odczuwał raczej te złe niż te dobre. Tylko tyle.

IV. Całość

*Na uznanie zasługuje tylko to,
co uwzniosła duszę.*

Jest to prawdą. Ale błędy należy poprawiać, nie tuszować. To był niewybaczalny grzech Ormuzda. Strącił Arymana w otchłań, zamiast przyjąć go do siebie. Lub zamiast go zniszczyć. Zaratusztra Nietzschego znał różnicę i dlatego tak bardzo różnił się od tego historycznego. Dualizm dobra i zła to zło samo w sobie. Dlaczego w tobie ma być coś takiego?

Najprościej rzecz ujmując, każdy jest sobą, a nie so-bą, czy s-o-b-ą. Twoje życie nie zaczęło się z chwilą, z którą ją poznałeś. Żyłś wcześniej. Nie zapominaj o tamtych dniach i nie traktuj ich jako gorszych, pielęgnując w pamięci tylko te, które przeżyłeś z nią. Kiedyś byłeś sam i nie wydawało się to takie złe. W samotności najłatwiej być całością.

III. Pole

*Nawet zawistny serafin o sześciu skrzydłach
i o ciele zrobionym z żywego ognia
nie oddzieliłby mnie od niej.*

Kim jesteś? Nie pytam, kim byłeś, gdyż nie ma to znaczenia. Żyjesz *teraz*. Nigdy nie mówiłeś bezpośrednio o sobie. Za każdym razem opowiadałeś o niej – czy to o tej, czy o tamtej – a o sobie przy okazji i w porównaniu do niej. A ona zawsze była piękna. Była nieskazitelna. Była mądra sama w sobie i mądra, bo wykształcona. Była tak wspaniała, że wszystko, co powiedziała, uświęcałaś i brałaś za własne. Zdanie po zdaniu, fakt po fakcie, opinia po opinii. Aby zrobić miejsce dla niej, ścisnąłeś siebie tak bardzo, że po jej śmierci stałaś się całkowicie niewidoczny.

Wielu ludzi jest niewidocznych i mało kto z nich przeszedł to, co ty. Wiem, dlaczego tak jest, ale nie potrafię tego zrozumieć. Może jestem zbyt okrutny. I może w tym jest klucz. Nigdy nie miałem problemów z odróżnieniem własnej osoby od innych i inni nie mieli problemów z dostrzeżeniem mnie nawet wtedy, kiedy sama moja obecność ich raniła i starali się mnie nie widzieć. Życie na tym świecie to nieustanne zabieranie jego kawałka innym. Nie da się podejść do tego pokojowo – życie to czysta agresja. Trzeba zrozumieć, gdzie leżą własne granice, i bronić ich za wszelką cenę. Uchylanie się od tego – rozmywanie tych granic, przesuwanie ich raz za razem – to zwyczajne tchórzostwo. Nienawidzę tchórzów. Nienawidzę ze mną.

II. Figura na tle

*Nawet sztuka w całej swej cudowności
nie może trwać wiecznie.*

Nareszcie mówisz sensownie, choć jest to truizm. Ale zrozumienie istoty rzeczy w większości składa się właśnie z nich. Oto kolejny: pojawia się potrzeba – zaspokajasz ją – potrzeba znika – koniec. I tak na okrągło, tylko z innymi potrzebami. Czego ty chcesz od tych kobiet? Aby wróciły? Nie wydaje mi się. Ani razu nie wyraziłeś takiego życzenia. Nie popadasz z depresji w psychozę dlatego, że usychasz z niemożliwej do zakończenia tęsknoty. Twoją prawdziwą potrzebą jest odzyskanie własnej postaci.

Ale jak to zrobić? Jeśli pisarz może być tylko tak wspaniały, jak to, co napisze, to sam staje się jedynie słowami na papierze...

I. Gestalt

Zajęciem niewdzięcznym jest stwarzanie czegoś z niczego, gdyż trzeba wziąć za to całą odpowiedzialność.

Ale właśnie na tym polega praca artysty.

Nie narzekam, bo mam tylko to.

*Gaily bedight,
A gallant knight,
In sunshine and in shadow,
Had journeyed long,
Singing a song,
In search of Eldorado.*

*But he grew old –
This knight so bold –
And o'er his heart a shadow
Fell as he found
No spot of ground
That looked like Eldorado.
And, as his strength
Failed him at length,
He met a pilgrim shadow –
"Shadow," said he,
"Where can it be –
This land of Eldorado?"
"Over the Mountains
Of the Moon,
Down the Valley of the Shadow,
Ride, boldly ride,"
The shade replied, –
"If you seek for Eldorado!"¹**

Nie ma kobiet i nagle wszystko jest proste. Nawet wędrowka za nieuchwytnym celem wydaje się piękną. A może ten cel to jest właśnie kobieta? Czy o to ci chodziło? Jeśli tak, wszystko układa się w logicznym porządku. Postać jest dopełniona. Ma swoje problemy, jak każda. Najważniejsze, że z heroizmem podchodzi do swojego istnienia. Jest to życie odważnego człowieka. A to znaczy, że myliłem się. Nic nie musisz ode mnie brać. I ja też nie mam nic specjalnego do zaoferowania. Taka jest *moja* postać – okrutnego anioła, który w oczach innych jest jedynie odrzuconym chłopcem chcącym stać się legendą. Zazdrościłem ci, bo byłeś kochany i dzięki temu powstały wielkie rzeczy. Ale powinienem szukać własnej, rzeczywistej miłości. Nawet jeżeli kiedyś miałbym ją bezpowrotnie utracić.

A co na to wszystko kobiety? Nie wiem. Skąd mam to wiedzieć? Warto odezwać się do którejś i zapytać.

Zacznę od poniedziałku.

POCZĄTEK

¹ E.A. Poe: *Eldorado*.

Daria Chowaniec

PIEKIELNY KRAJ

Słońce przygrzewało dziś nadzwyczaj mocno jak na angielski klimat. Przez dwadzieścia lat życia przywykłam do deszczowej pogody, ale widok oślepiających promieni zawsze radował moje serce. Łechtałam sobie ego, że w dzień moich urodzin nawet pogoda postanowiła, że specjalnie na tę okazję da mi nieco więcej radości i otuli mnie promieniami. Poprawiłam gruby warkocz czarnych włosów i wystawiłam twarz do słońca.

Siedząc schowana pomiędzy konarami brzozy, miałam idealny widok na całą wioskę Castle Combe oraz samotną drogę w kierunku Londynu, ciągnącą się niczym wstążka i znikającą za najbliższym wzgórzem. To było moje ulubione miejsce. Już jako dziecko upatrzyłam sobie tę brzozę, która rosła wraz ze mną, dzielnie dźwigając mnie na swych konarach przez lata. Pamiętam, jak ojciec pomagał mi na nią wchodzić. Zrobił w domu drewniany stołeczek, który podstawiałam pod najniższe gałęzie i ze wszystkich sił podciągałam się na nie, a później pięłam do góry niczym zwinna wiewiórka. Miałam szczególny sentyment do tego drzewa, może dlatego, że wiązało się ze wspomnieniem ojca, który zniknął równo rok temu. Co miesiąc wymykałam się z domu podczas pełni księżyca i obserwowałam rytualny pochód do lasu, a w mojej głowie rodził się plan, który po roku był już bardzo szczegółowo dopracowany. Powtarzałam go codziennie, analizowałam wszystko, co się da, aż do perfekcji, a przynajmniej taką miałam nadzieję.

Słońce leniwie chowało się za wzgórzem, oświetlając pomarańczową poświatą nasz mały, wiejski rynek. Wokoło stały domy porośnięte bluszczem, przy każdym z nich można było nacieszyć oko rzędami kwiatów w rozmaitych kolorach. Po całej wiosce pałętały się kury i kaczki, ale nikomu to nie przeszkadzało. Zwierzęta żyły tutaj razem z nami. Prawie przy każdym budynku można było zobaczyć psa albo kota wylegującego się na drewnianej ławeczce. W centrum wioski znajdowała się studnia, jedna na wszystkich mieszkańców,

z przygotowanym wiaderkiem przyczepionym do łańcucha zawijanego na drewnianą korbkę. Obok stały trzy wysokie betonowe słupy – pamiątka po polowaniach na czarownice. Wszyscy znali historie o kobietach, które zostały posądzone o czary i powieszono właśnie tutaj. Niektórzy nawet upierali się przy tym, że czarownice wciąż są wśród nas, ale dobrze ukrywają swoje pochodzenie. Wołałam jednak nie zastanawiać się nad tym, w jaki sposób to robiono, ale słupy wyglądały wręcz złowieszczo. Za każdym razem, gdy się do nich zbliżałam, czułam ukłucie niepewności i strach, jakby owe przedmioty były wypełnione nienawiścią kobiet, które skończyły na nich swój żywot.

Na środkowym słupie siedział kruk i, o ile moja głowa nie próbowała ze mnie drwić, wpatrywał się we mnie intensywnie. Ciężko było mi z tej odległości zobaczyć paciorkowate oczy, jednakże czułam to mroczne spojrzenie utkwione w mojej osobie. Tak jakby ptak siłą swojego malutkiego umysłu próbował wwiercić się do mojej głowy. Szczerze, nie byłabym zdziwiona. Od najmłodszych lat opowiadano mi historie o polowaniach na czarownice, które miały miejsce w Anglii kilkaset lat temu. Skoro czarownice były jak najbardziej prawdziwe, to dlaczego kruk nie mógł uporczywie na mnie patrzeć? Wierzyłam w siły nadprzyrodzone, szczególnie, że w mojej wiosce co miesiąc odbywały się pogańskie rytuały w czasie pełni księżyca. Właśnie podczas jednego z nich zaginął rok temu mój ojciec. Nikt z wyznawców nie wiedział, co się stało. Wielkie ognisko nagle zgasło, zerwał się potężny wiatr, a ciemność spowiła las. Ojciec prowadził rytuał i znajdował się w centrum kręgu, kiedy to wszystko się zaczęło. Nagle zniknął, nie pozostawiając żadnego śladu. Od tamtego czasu nikt go już nie widział. Niektórzy mówią, że sam Szatan wezwał go w końcu do siebie.

Z rozmyślań wyrwał mnie ptak, który zerwał się z głośnym krakaniem po tym, jak najprawdopodobniej Hank wysłał kulkę w jego stronę. Swego czasu mężczyzna wydał wyrok na kobietę, która została uznana za czarownicę. Choć wydawało mu się to nieprawdopodobne, aby jedna z tych istot wciąż kroczyła po ziemi, uległ naciskom ludu i rozkazał powiesić kobietę. Ta, w ramach zemsty, zesłała na niego kruki, dowodząc tym samym swego magicznego pochodzenia. Okrutnie go podziobały i zostawiły prawie bez życia. Znalazła go jego obecna żona, opatrzyła i pomogła wrócić do zdrowia. Od tamtego momentu nienawidził tych zwierząt. Pozostał w nim strach, że ptaki – będące wtenczas na posługach wiedźmy – pamiętają o jego czynie i będą się na nim mścić do końca jego życia.

Hank przejął po moim ojcu rolę najwyższego kapłana podczas rytuałów. Kiedyś podsłuchiłam rozmowę rodziców. Po śmierci poprzedniego prowadzącego musieli wybrać kolejnego. Hank był konkurentem ojca i bardzo zależało mu na objęciu tego stanowiska. Gdy składali przysięgę krwi nad ogniem, rana ojca zasklepiła się, co oznaczało, że został wybrany, by prowadzić rytuały. Hank z kolei nie mógł przestać krwawić, a więc jego intencje związane z przejściem władzy nie były szczerze. Teraz, gdy ojciec zaginął, on przejął przewodnictwo. W głębi duszy miałam przeczucie, że mógł mieć pewien udział w zaginięciu ojca.

Kruk poleciał w kierunku brzozy, na której siedziałam. Zanim zorientowałam się, co zamierza, przemknął obok mnie, wydając z gardła głośne kraknięcie, prosto w moje ucho. Krzyknęłam i straciłam równowagę. Runęłam jak długa w miękką, wysoką trawę pod drzewem. Wstałam, poprawiłam gorset i otrzepałam sukienkę, którą gałęzie potargały w kilku miejscach. *Matka powiesi mnie na tym drzewie, gdy to zobaczy*, pomyślałam.

– Głupie ptaszysko – przeklinałam pod nosem, jednocześnie zastanawiając się, czemu ptak zachowywał się w taki dziwny sposób. Czy kruki mogły wykazywać agresję w stosunku do człowieka? Oczywiście jeśli nie zostały zesłane przez żadną z czarownic. Jego zachowanie nie było typowe dla zwyczajnego ptaka. Jako ciekawska dusza wiedziałam, że nie będzie mi to dawać spokoju, więc postanowiłam zaczerpnąć wiedzy na ten temat u jedynej osoby znającej się na siłach nadprzyrodzonych, zwierzętach oraz wszelkich ziołach – Jenny Combe. Od dłuższego czasu planowałam się do niej wybrać, jednakże codziennie odkładałam to na później. Dziś poczułam, że po prostu muszę do niej pójść. Jakby jakaś niewidzialna siła ciągnęła mnie wprost do jej domu, a kruk był tylko przełomowym momentem w podjęciu tej decyzji.

Jenny była najstarszą mieszkanką wioski. Jej przodkowie wybudowali to miejsce własnymi rękami. W jej drzewie genealogicznym była czarownica, po której Jenny otrzymała imię. Mimo iż nikt nigdy nie widział, żeby odprawiała jakiegokolwiek czary bądź rytuały, wszyscy mieszkańcy snuli przypuszczenia, że Jenny może być czarownicą. Unikali jej poniekąd ze strachu, że może rzucić na nich klątwę. Ponadto jej wiedza była większa niż wszystkich razem wziętych mieszkańców wioski. Jenny mieszkała samotnie na końcu wioski, przy granicy z lasem. No, może nie do końca samotnie. Jak na „wiedźmę” przystało, o ironio, miała starego czarnego kota – Dagona. Swoją drogą nikt nie wiedział, ile kot tak naprawdę ma lat. Ci twardo stąpający po ziemi uważali, że po śmierci każdego kota Jenny nabywa podobnego, a inni że kot jest po prostu nieśmiertelny. Z biegiem lat nadal wyglądał tak samo i wciąż miał tyle samo kociej energii.

Otrzeptałam się z trawy i ruszyłam w kierunku najbardziej omijanego domu w Castle Combe. Żeby przypadkiem nie natknąć się na matkę wracającą z jajkami i mlekiem od jej serdecznej przyjaciółki, Susan – małżonki Toma Hanka, postanowiłam pójść okrężną drogą przez las. Słońce zaraz miało schować się za horyzontem, więc musiałam się pospieszyć, by w lesie nie dopadł mnie zmrok. W wiosce obowiązywał całkowity zakaz poruszania się po lesie po zachodzie słońca. Mówiło się, że wtedy zło ma największą moc i wychodzi z ukrycia. Choć nigdy nie udało mi się spotkać żadnej z nadprzyrodzonych istot, wołałam aż tak nie igrać z ogniem. Nie wiem, jak zareagowałabym na widok wygłodniałego wilkołaka, a już na pewno nie miałabym żadnej szansy ucieczki.

Szłam pewnym krokiem pomiędzy wysokimi drzewami, cicho pogwizdując, by dodać sobie nieco więcej odwagi. Zastanawiałam się, w którym miejscu odbywają się tajemnicze rytuały. Co prawda już niedługo miałam to zobaczyć na własne oczy. Bałam się tego, to nie podlegało żadnej dyskusji. Nie wiedziałam, co mnie tam czeka. Nikt z członków Piekielnego Kręgu (bo tak nazywało się zgromadzenie mężczyzn odprawiających rytuały co miesiąc w lesie) nie mógł ujawnić tej tajemnicy. Konsekwencje takiej zdrady mogły być naprawdę okrutne. Tak zapewniali, ale nigdy nie mówili, co może się stać. Przez pewien czas zastanawiałam się, czy ojciec nie zdradził komuś tego, czego nie powinien i dlatego spotkała go kara. Jeszcze nie byłam pewna, jak to zrobić, ale chciałam znaleźć się w tym samym miejscu, co on i pomóc mu wrócić do domu. Nie przyjmowałam do wiadomości informacji, że mógł nie żyć.

Delikatnie popchnęłam skrzypiącą furtkę i przeszłam po rozpadających się kamieniach prosto pod drzwi Jenny Combe. Wzięłam głęboki oddech i wyciągnęłam rękę, by zapukać do drzwi, które w tym samym momencie stanęły otworem. Naprzeciwko mnie zobaczyłam niską, szczupłą kobietę ubraną w czarną suknię do kostek. Długi warkocz gęstych białych włosów zarzuciła na ramię. Wpatrywałam się w poznaną zmarszczkami twarz, a ta twarz z kolei wpatrywała się we mnie bystrymi zielonymi oczami. Podświadomie wiedziałam, że ona doskonale zdaje sobie sprawę z tego, po co przyszłam.

– Czekalam na ciebie. – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Jenny. Poczułam dziwny dreszcz przebiegający mi wzdłuż kręgosłupa. Jenny odsunęła się na bok, dając mi tym samym znak, bym weszła do domu. Zaprowadziła mnie do niewielkiej kuchni i wskazała krzesło pod oknem przy ręcznie zrobionym drewnianym stole. Misternie wycięte elementy na nogach przedstawiały leśne zwierzęta i rośliny. Staruszka postawiła przede mną kubek ze świeżym mlekiem, odrywając mnie tym samym od obserwacji.

– Wybacz, że cię niepokoję, szczególnie że jest już po zmroku. Jest coś, co nie daje mi spokoju i jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc uzyskać odpowiedź.

– Wcale nie chodzi o tego ptaka, prawda? – zapytała, intensywnie się we mnie wpatrując. Mimowolnie poczułam, że dostaję gęsiej skórki. Czułam przed tą kobietą taki respekt, jak przed nikim innym. Roztaczała wkoło siebie aurę ogromnej mocy i energii, mimo starczego wieku. Biła od niej pewność siebie, była świadoma, że wiedzą przewyższa nas wszystkich.

– Poniekąd chodzi... – zaczęłam ostrożnie. – Na pewno był on zapalnikiem do tego, by tu przyjść, ale masz rację, jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju.

– Nie powinnaś tego robić. To może narazić całą wioskę na pewną zgubę – odpowiedziała, jakby czytając w moich myślach. – Choć wiem, że i tak jesteś zdolna, by posunąć się do tego czynu, nie zważając przy tym na konsekwencje. Jesteś w stanie poświęcić siebie dla kogoś.

– Jenny, musi być jakiś sposób, by wrócił. – Mimowolnie zacisnęłam pięści. – Żeby go odzyskać, jestem w stanie zapłacić każdą cenę, podjąć każde ryzyko. Nie boję się konsekwencji, choć wiem, że mogą być straszne. Zrozumiem, zrobię wszystko, by odzyskać tatę – powiedziałam z mocą. Jenny lekko się wzdrygnęła, choć starała się nie dać tego po sobie poznać.

Patrzyła na mnie długo, odciągając moment odpowiedzi. Wytrzymałam jej twarde spojrzenie. Wydawało mi się, że nawet dojrzałam w nim błysk zrozumienia. Dagon wskoczył na moje kolana, zamiauczał i zwinął się w kłębek. Pogłaskałam jego błyszczącą czarną sierść, a on zaczął mruczeć. Jenny wstała gwałtownie od stołu i utkwiała spojrzenie w kocurze.

– To niemożliwe! – Nagle jej zielone oczy wydały mi się dużo większe, gdy chodziła po kuchni, machając rękami i w kółko powtarzając te dwa słowa.

– Co jest niemożliwe? Czy możesz w końcu powiedzieć mi cokolwiek? – Delikatnie się zirytowałam. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak się zachowuje. Zaczęło mnie to niepokoić. Czy Jenny faktycznie była szalona, jak mówili niektórzy złośliwcy?

– Owszem wiedziałam, że jesteś wyjątkowa. Wiedziałam to już od dnia twoich narodzin. Gdy przyszedł na świat, poczułam, że to przełomowy moment, że zrobisz coś, co diametralnie zmieni dotychczasowe reguły i porządek. Obserwowałam cię przez dwadzieścia lat i czekałam na moment, gdy sama zaczniesz dostrzegać to, że jesteś nieco inna niż wszyscy, aż sama zorientujesz się, że jesteś w stanie widzieć i czuć więcej niż reszta. Czekałam, aż w końcu pojawisz się w moim domu. Wiedziałam, że nadejdzie ten dzień, ale nie byłam pewna, kiedy dokładnie – powiedziała, przez cały czas wbijając we mnie spojrzenie swych hipnotyzujących oczu. – Dagon – wskazała na zwierzaka – nie jest zwyczajnym kotem. – Spojrzała na mnie porozumiewawczo, ale na ten moment byłam w stanie tylko siedzieć i patrzeć na nią z szeroko otwartymi oczami i mało elegancko rozdziawioną buzią.

– Jak to nie jest kotem? – udało mi się wydusić. – To czym jest? – Spojrzałam na leżącego na moich kolanach czarnego kocura. Moje oczy nie mogły być już większe. Obawiałam się, że zaraz wypadną i potoczą się po blacie drewnianego stołu.

– To nieco zabawne, ale to jeden z demonów. Włada albo raczej władał podwodnym światem. Nie wystarczyło mu to i chciał przejąć część Piekła. Szatan za karę zamienił go w kota – Jenny uśmiechnęła się pod nosem, a Dagon w tym momencie prychnął – i skazał na wieczność w takim wcieleniu. Zostawił mu jednak diabelskie moce i Dagon potrafi między innymi wyczuć magiczną aurę. Można powiedzieć, że jest niczym wykrywacz magii. Wedle dawnych legend, gdy Wybraniec ukończy wiek dziecięcy, jego dusza uwolni całą magiczną aurę, a same demony będą kładły mu głowę pokornie na kolanach, gdyż ma w sobie siłę zdolną pokonać samego Władcę Piekła.

Nie byłam zdolna wydusić z siebie żadnego sensownego zdania. Po prostu siedziałam i wlepiam swoje błękitne oczy prosto w Jenny. W tym momencie Dagon podniósł się z moich kolan, przeciągnął leniwie i spojrzał na mnie. Na krótką chwilę jego oczy zapłonęły czerwienią, by zaraz wrócić do normalnej postaci. Zwierzak zwinnie wskoczył na parapet i zajął się miską z mlekiem, niczym najzwyczajniejszy w świecie kot.

– Skąd pewność, że to ja jestem wybranką? – spytałam tępo.

– On mi to powiedział. – Jenny wskazała głową na kocura. – Rozmawiał z twoją duszą – zakończyła tajemniczo, a kot gwałtownie odwrócił głowę z płonącymi ślepiami i zawarczał jak prawdziwy demon.

Księżyc świecił dziś niezwykle jasno. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przyszło mi oglądać tak intensywną pełnię. Była piękna i złowroga zarazem. Czułam strach i spokój, jednocześnie byłam zdeterminowana w swoim postanowieniu, ale też pełna chęci do ucieczki. Sprzeczne emocje targały mną od środka, choć na zewnątrz zachowałam kamienną twarz. Użyłam całej swojej siły woli, by w żaden sposób nie uzewnętrznić swoich obaw. Nikt nie miał się zorientować, nikt nie miał zwrócić uwagi na to, że jest o jednego członka za dużo. Wszystko miało być zupełnie naturalne. Jenny solidnie się o to postarała, rzucając urok na wszystkich mieszkańców wioski. W ten wieczór jej moc była największa. Mogła używać czarów tylko raz w miesiącu, podczas pełni. Nie chciała mi zdradzić dlaczego, a ja również nie naciskałam. Ponadto przymuszanie czarownicy do czegokolwiek raczej nie było dobrym pomysłem. Mimo iż w żaden sposób mi nie zagrażała, nie chciałabym jej zdenerwować. Coś mi podpowiadało, że lepiej nie poznać Jenny z jej najmroczniejszej strony.

Widziałam ogień, co trawił tlen wkoło.
Widziałam, jak piał się do góry, licząc,
że pocałuje czubki sosen.
Widziałam ich w szatach czarnych i długich
z rogami jak u diabła, doprawionymi.
Ktoś obcy pomyślałby, że sekta jakaś,
że ofiary składają, krew przelewają
w tajemnicy przed światem.

Kult śmierci –
cała noc dla niej i na niej skupiona,
na tajemnicy,
ale tej bycia, istnienia inaczej.
Istnienia po wszystkim.

Czczymy śmierć nie będącą końcem,
a początkiem.

I co roku chowamy się w czarnych pelerynach,
zrobionych z mroku i cienia.
Pochód w las ciemny,
kroki zgniłymi liśćmi zgłuszone
w trakcie pierwszej pełni jesieni.
Ogień na środku polany i my – Wybrańcy.

Czułam, jakby serce zaraz miało wyskoczyć mi z piersi. Stałam w Piekielnym Kręgu w czarnej, ciężkiej, powłóczystej pelerynie. Nikt nie widział mojej twarzy skrytej pod maską z czaszki jelenia. Wielkie rogi nie-samowicie mi ciążyły, mimo to stałam z dumnie uniesioną głową i starałam się w żaden sposób nie zdradzić. Moją uwagę zwróciła podobna czaszka, przytwierdzona do drzewa naprzeciwko mnie. Nagle wewnątrz odczułam dziwny ucisk. Cierpienie i potworny ból rozlewało się po moim ciele niczym trucizna. Z ziejących czernią oczodołów spływały krwawe łzy, pozostawiając za sobą ciemną ścieżkę śladu. Nerwowo rzucałam głową na boki. Czaszki znajdujące się wkoło kręgu płakały prawdziwą krwią. Miałam ochotę krzyczeć. Nikt nie zdawał się zauważyć, co się ze mną dzieje. Hank donośnym głosem nieprzerwanie odczytywał modlitwę

dziękczynną naprzeciw ognia, wyznawcy wtórowali mu zgodnym basem. Żaden z nich nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

Poczułam ciepło delikatnie przesuwające się po moim policzku. Uniosłam drżące dłonie do twarzy. Spostrzegłam na palcach ślady krwi, która spływała coraz mocniejszym strumieniem z moich oczu. Panika uwięzła mi w gardle. Wrywałam się z kręgu, zrywając kościstą maskę jelenia. Ona również zaczynała płakać czerwonymi łzami. Rzuciłam ją w kierunku ognia, prosto pod nogi kapłana. Ten odwrócił się. Swoją twarz ukrył pod maską doktora plagi. Długi ptasi dziób i czarne oczodoły skierowane były wprost w moim kierunku. Próbowalam bezskutecznie dojrzeć oczy postaci spowitej w czarną pelerynę z kapturem. Mój wzrok nie mógł przebić się przez czerń oczodolów maski.

– Hank... – zaczęłam i urwałam gwałtownie. Kapłan zamiast oczu miał dwa gorejące czerwieni ślepie, utkwione we mnie. Księga, którą trzymał w dłoni, zajęła się ogniem. Płonące języki lizały dłoń Hankę, a on stał niewzruszony. Nagle każda komórka mojego ciała zaczęła krzyczeć, by uciekać. Czułam wszechobecną złą aurę, która wciąż rosła i rosła. Ogień wystrzelił gwałtownie do góry, po czym zgasł. Zaczęło się, pomyślałam. Zstąpiła na nas gęsta ciemność.

Wszystko zaczęło dziać się niezwykle szybko. Niebo przecięła błyskawica, a ziemię wstrząsnął potężny grzmot. Nic nie widziałam. Do moich uszu dobiegały z każdej strony krzyki wyznawców. Słyszałam chrzęst łamanych kości i rozrywanych szat. Wkoło mnie ginęli ludzie i to ja byłam temu winna. Wiedziałam o tym. Świadomość tego przerażała mnie równie mocno jak to, co działo się w ciemnościach. Skuliłam się w miejscu i mimo mroku zamknęłam oczy. Byłam przerażona. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Modliłam się, by ten koszmar się skończył. W myślach widziałam zrozpaczoną matkę. Najpierw straciła męża, teraz straci jedyną córkę. Dlaczego zdecydowałam się na tak bezmyślny krok? Teraz przyjdzie mi za to zapłacić. Stracę życie w dwudzieste urodziny.

Nagle zapadła złowroga cisza. Wyteżyłam słuch, licząc, że usłyszę kogoś z wyznawców. Na darmo. Powoli otworzyłam oczy. Księgę w pełni oświeślał polanę swoim blaskiem. To, co zobaczyłam, sparaliżowało mnie na nowo. Wszędzie leżały zmasakrowane ciała. Nie sposób było rozpoznać kogokolwiek. Drzewa, nie mi świadkowie tego wydarzenia, obryzgane były taką ilością krwi, że żółć podeszła mi do gardła, zgięłam się wpół i zwymiotowałam. Gdy zwróciłam już całą zawartość żołądka, na drżących nogach ruszyłam powoli przed siebie. Stawiałam ostrożnie kroki, by nie wdepnąć w porzucane wnętrzności i oderwane od ciała ręce albo nogi. Ludzkie szczątki zaścielały całą polanę.

– Boże jak do tego doszło? – szepnęłam przez łzy, które dławiły mnie w gardle. – Co tu się stało?

– Kassandro?

Stałam jak rażona piorunem, gdy usłyszałam swoje imię wypowiedziane niskim, gardłowym głosem. Moje ciało krzyczało, bym uciekała, nie odwracając się za siebie. Jednocześnie wiedziałam, że nie miałabym żadnych szans. Przepraszając w myślach za swoje czyny matkę, Jenny Combe, rozszarpanych wyznawców i wszystkich mieszkańców wioski, odwróciłam się.

Bestia stała parę metrów ode mnie. Czerwone ślepie wwierały się we mnie intensywnie. Sierść posklejana była świeżą jeszcze krwią. Wilkołak odsłonił wielkie kły i stłumił warknięcie.

– Kassandro. – Usłyszałam ponownie swoje imię. Z przerażeniem stwierdziłam, że słyszę je w swojej głowie.

– Kim albo czym ty jesteś? – wydusiłam pytanie, które wydało mi się niezwykle idiotyczne w zaistniałej sytuacji.

Czcimy śmierć nie będącą końcem,
a początkiem.

Wraz ze świtem rozchodzimy się,

powleczeni czernią,
ze światłem w sercach licząc,
że nasza karma może się odmienić.
Szepczemy modlitwę o życie
po śmierci.

Daria Chowaniec – studentka ostatniego roku studiów magisterskich na kierunku twórcze pisanie i marketing wydawniczy. Wrażliwa dusza, najbardziej lubuje się w prozie poetyckiej. Niezwykle odważnie przelewa na papier to, co myśli. Uważa, że nie należy wstydzić się emocji, które drzemią głęboko ukryte w naszych wnętrzach. Pozwala porwać się w – czasem nieco ryzykowne i niebezpieczne – literackie tango z uczuciami. Mimo poetyckiego polotu bardzo chciałaby napisać powieść z „krwi i kości”, taką, która byłaby jednocześnie podróżą do fantastycznego świata i nauką wartości zarazem. Pragnie pokazać innym, że absolutnie wszystko jest możliwe, wystarczy tylko nie poddawać się i pomimo wszelkich trudności dążyć do celu.

anita głowacka / anot głowacki

WESTERN WHITE LEFTIST CORE

1. Teen Idle

Wkłada majtki. Są morelowe i przetarte między nogami, można wyczuć tam pozostałości kleju z podpa-
sek. Ach, dziś skończył jej się okres. Nie była na to przygotowana. Nie była *na mnie* przygotowana. Dobrze.

Może i poczułbym to ciche drapanie w duszy, maleńkie ukłucie wyrzutów sumienia, ale widzę w jej łazien-
ce Microgynon, Lelo Sonę i Sertalinę. Smutna i niegrzeczna, prześliczny obrazek pokolenia. Ma naprawdę
piękne włosy.

Odwraca się plecami. Pieprzyki układają się w gwiazdozbiór Skorpiona. Pomyślałem o tym po raz pierw-
szy, gdy trzymałem kciuki w dołeczkach jej lędźwi. Pewnie poleciała na mojego Raka w Wenus.

Zażyczyłem sobie purpurowych świateł i dymu. Neogrunge, włosy na Cobaina, gitara akustyczna, plakaty
Foods not bombs. Pierwszy rząd to studenci socjologii. Przepraszam – *studentki*.

Słyszą o tym, że media to czwarta władza i zrywamy z Edenem. Pragmatyzm, nie idealizm. Karnawał
bieda-postmoderny trwa cały rok, w głośnikach dżingiel sprzedanych akcji, rzucanych słuchawek na giełdzie,
pisku szczurów w laboratoryjnych klatkach, supermarkety wysypane truskawkami na pestycydach; krytyka
kapitalizmu, syntetyzatory w ręce, niech oberwie się jeszcze telewizji, operacjom plastycznym, pokrzykmy

o handlu dziećmi na Dark Webie. Potem wrócą z podkulonymi ogonami do bud i grzecznie od 9:00 do 17:00. *Fitter, happier*, Radiohead.

Stała obok wejścia, pewnie weszła na fałszywy dowód. Ma naprawdę piękne włosy.

I chyba zrobiłem na niej wrażenie.

Gdy piła gruszkowe Somersby 0,0%, obserwowałem piegi na jej twarzy. Gwiazdozbiór Bliźniąt. Ciekawe, jak układają się jej pieprzyki na plecach. Powiedziałem, że moim zdaniem Eva Illouz zrobiła więcej dla postkolonialnego feminizmu niż Gayatri Chakravorty Spivak. Nie zaprzeczyła.

I chyba zrobiłem na niej wrażenie.

Złapałem ją za rękę. Jej szesnastoletnie, głodne miłości ciało rozbrzmiewało dźwiękami czołówki serialu *Skins*. Wreszcie przestała być nastolatką, a stała się Nastolatką – brytyjską dziewczyną w czarnych zakolankach z łatwym dostępem do narkotyków i seksu jako wysublimowaną i wyromantyzowaną na Tumblrze formą samookaleczania.

Na jej biblioteczkę znalazłem Sylwię Plath, Johna Greena i podręcznik do geografii. Usiadła na łóżku, podtrzymując pozory bezpiecznego dystansu – dwadzieścia pięć centymetrów między naszymi ramionami. Włączyła telewizor. *Netflix & chill*. Choć dla mnie raczej *chill*.

Dla niej raczej *Netflix*.

Gdy zrywam bezpieczny dystans dwudziestu pięciu centymetrów, dziewczyna wyraźnie sztywnieje. Ja również. Wybuch perlistym śmiechem, który gra mi w uszach od kilku godzin, choć tym razem ma w sobie drganie fałszywej nuty. Z dwudziestu pięciu centymetrów robi się pięć.

Dziewczyna odwraca głowę, napina mięśnie, zaciska uda. Nerwowy śmiech cichnie, ustępując urywanemu oddechowi. Później wymówionemu z trudem „nie”. A później ciszy.

Nie porusza się. Nie odrywa wzroku od ściany.

Poruszam się. Nie odrywam wzroku od dziewczyny.

– Opresja kobiet w systemie kapitalistycznym jest kluczowa dla jego podtrzymywania. W tym właśnie miejscu rodzi się kategoria *gender*: mężczyzna staje się społecznie *mężczyzną*, a kobieta pełni rolę *kobiety*. Praca reprodukcyjna jest miejscem wytwarzania się podziału na sferę domową i publiczną. Kobiety są aktorkami męskiego języka i dyskursu zdominowanego przez fallogocentryzm. Pozbawione własnej mowy, mówiące „martwym językiem”, którego znaczenia są im niedostępne, nie mogą tworzyć systemu wiedzy – przemawiam na uczelnianej konferencji zorganizowanej przez Akademickie Koło Lewicowe. – Aktywna ignorancja nie pozwala na przeprowadzenie skutecznych zmian, ponieważ każdy podnoszony postulat jest odrzucany, grozi bowiem ujawnieniem prawdziwego obrazu dominujących struktur władzy.

Zebrałem zasłużone oklaski.

2. *Planned Sisterhood*

Ada, to nie wypada.

Ale taka jest prawda. Kiedy starzy zginą w wypadku, pierwsze, co pomyślę, to nie: „boże, nie mogę w to uwierzyć, moi ukochani rodzice!” tylko „o kurwa, to od teraz mam się nim zajmować?”

Krzyczy, bije mnie, samolubnie domaga się spełniania wszystkich swoich prymitywnych potrzeb. Bywa irytujący, jak żar lejący się z nieba, przed którym nie da się schronić. Nie potrafi nawet sam usiąść ani zjeść, ogranicza nas to bezwładne, ciężkie ciało, które trzeba pchać przed sobą na wózku. Zwisa mu bezwładnie głowa, zaczepia wykrzywionymi rękami obcych ludzi. Kiedy nasi starzy umrą, nie będzie go to obchodziło.

Zauważy jedynie, że inna osoba niż zwykle podsuwa mu pod nos łyżkę z jedzeniem czy zmienia zafajdaną pieluchę.

Każdego ranka otwiera ponownie oczy, zatapia się w rutynie zdominowanej przez telewizor, zapatrzony w wijące się linie i figury geometryczne, liczby i słowa, zwierzęta i ludzi, mieniające się na ekranie kolory. Całymi dniami jest zafascynowany tym niezrozumiałym dla mnie festiwalem barw i dźwięków. Prowadzi życie bez refleksji, dla samego biernego egzystowania, pozbawiony nawet decyzji, czy chce tę egzystencję dalej podtrzymywać.

Zdecydowanie bywa głośny, irytujący, wręcz nieznośny.

Jest bardzo podobny do swojej siostry.

Co kilka lat musi mieć operację zmieniającą cały sprzęt, który ma wszczepiony w swoje ciało. Codziennie zawozi się go na rehabilitację, by jego zdeformowane od niechodzenia kości nie zaczęły uszkadzać organów wewnętrznych.

Moje randki są zajebiste. Słuchaj, jesteś świetny, mamy super seks i fajnie ogląda mi się z tobą seriale, ale wiesz, że gdy moi rodzice umrą, to na głowę spadnie mi całodobowa opieka nad moim niesamodzielnym bratem?

No i pstryk, nagle mu opada.

Uwielbiam też pełne poczucia sprawczości popfeministki, głoszące powszechne wyzwolenie z okowów obowiązku – wyrzucić stanik, kup bilet w jedną stronę, bądź panią swojego czasu i nie daj się ujarzmić żadnemu mężczyźnie! No proszę, mój brat nawet nie wie, że istnieje, a już trzyma mnie w szponach patriarchy.

Kolejna niedziela, kolejny ksiądz pieprzy z ambony o grzechu aborcji. Kolejny poniedziałek, kolejna Kaja zgłasza projekt przewidujący kary za *morderstwo* płodu. Kolejny wtorek, jadę na uczelnię, dostając esemesa, że brat znowu miał atak padaczki. Kolejna środa, modłę się, żeby dostała stypendium socjalne, bo rodziców nie stać na moje studia – nie mogą pracować, a każda dorobiona złotówka odbierze im zasiłki.

Widzę pikiety solidarnościowe, sejmowe walki o dochód podstawowy i świadczenia rodzinne, utarczki *pro-choice* i *anti-choice*, wszystko zajebiście, tylko czy może któraś z was, obojętnie z której strony, zrobi nam zakupy, zajmie się przez weekend bratem, by moja matka mogła odpocząć, zrobi rewizję w ośrodkach wychowawczych, w których dzieci są przywiązywane do kaloryferów, zgłosi się na wolontariat na obozie wytchnieniowym?

Nawet nie wiedziałby, że umiera. W końcu ta chwila nadejdzie – umrze, może po rodzicach, może przede mną. Dobrze by było, bo w innym wypadku nie miałby kto się nim zająć. Gdyby ktoś go skrzywdził, nie mógłby zrobić nic.

Zatem gdy umrze, będę musiała pochować Jakuba, wiedząc, że znając go, nigdy tak naprawdę go nie poznałam.

3. *Masculine/feminine*

Wyrывa się ze mnie poskręcana przepuklina kłaczastych norm płciowych, o bardzo ciernistych brzegach. Z gruczołów łzowych wylewam różową żółć, *major gender depression*. Rozrywam układy krwionośne limfatyczne nerwowe. Chcę XY, nie XX.

XY, nie Xanax.

Chcę mieć w kartotece przestępczej F64.0, nie F33.0. Jako obyczajowy kryminalista mam za to poetycki brud, twórcze wkurwienie, bordowy sweter z wełny (lumpeks, dział męski), dreszcz podniecenia, gdy przeczesuję dłonią krótkie włosy i drażniący pyłek w oku o przykrej nazwie „Sonia, płęć: k”.

Zażenowanie / dyskomfort / skrzepowanie / udręka / upokorzenie / konsternacja / niedopasowanie / obcość / błąd / uwieranie / sprzeczność tego nie da się opisać prostymi słowami. Wpisując: *wstyd* synonimy w wyszuki-

warkę Google, odkrywam, że nie istnieje leksem opisujący to, co czuję, gdy myślę o swojej fizycznej formie. Kiedy nie wchodzi w grę ucieczka w język, język zamienia się w nowotwór złośliwy w ostatnim stadium. Mój bunt to autodestrukcja, a moja depresja to choroba autoimmunologiczna. Ciało mnie sabotuje.

Jestem menstruacją, moje imię to stowa w biodrach, miseczka stanika mieszcząca się w dłoni, sto siedemdziesiąt dwa centymetry pastelowego mięsa o falistych brzegach, para jajników i wagina. Opozycja natura-kultura, kobieca materia, męski duch. Szkoda, że nie skończyło się na metaforze. Płacz na kafelkach łazienki, krew w wannie, PTSM, *post traumatic stress makeup*.

Nic jednak nie poradzę na to, że czyste płótno mojego dziecięcego umysłu wypełniało się koślawymi kleksami końcówki fleksyjnej -em. Bo ja się bawiłem, nie bawiłam, i nigdy, przez całe swoje świadome życie, nie użyłem formy żeńskiej, gdy jestem sam na sam, nie sam kontra ludzie, bo ludzi się boję. Może stąd moja alienacja – za przyjaciela wystarczała mi ta obca osoba w lustrze, w której rysach nigdy nie zobaczyłem swojego odbicia.

Co kilka miesięcy wraca płacz na kafelkach w łazience, pornograficzna wizja wycinania sobie płatów mięsa z obfitych bioder, *sacrum profanum*. Artefakty kobiecości piękne poza moim ciałem, w moim ciele są odrzuconym przeszczepem. To dyskomfort odczuwany nieustannie, dyskomfort bez granic, który nie zabija, ale sprawia, że chcesz się zabić.

4. *Shakespeare's Sister*

To dziecinne mieć dzieciństwo, odłóż na później swój spóźniony nastoletni bunt. Uśmiechnij się i powiedz nam, jak bardzo marzysz o byciu pracownikiem, którego zastąpi się w ciągu godziny, tuż po tym, jak w końcu zdechniesz. Ale dostaniesz owocowe środy, kupony na niedzielną promocję w supermarkecie (pamiętaj o szczoteczce do warzyw) i coachingowe kursy „jak wypełnić pustkę, nie uciekając się do egzaltowanego frenetyzmu” lub „jak płakać w kabinie, by nikt nie zauważył – w końcu inni mają prawo do swojej strefy komfortu”.

– Cóż, kapitalizm ma swoje wady, ale nikt nie wymyślił dotychczas lepszego systemu – słyszę, podając *Iced Caramel Macchiato* dziesięć minut przed zamknięciem lokalu. Dwóch studentów, może doktorantów. Wełniane płaszcze. Mam ochotę napluć im do tej kawy.

Godzinę później pakuję swoje płótna do teczki i rozkładam nogi na podeście.

Dlaczego biednym męskim duszom każesz taplać się w swojej materii? Przysługa za przysługę – zamiast ten swój *gender* na nauki o rodzinie, to porozmawiamy. Może nawet pozwolimy ci zająć pracownię o piątą nad ranem, zanim wstaniemy, zamiast od razu skrzywić się na twój widok. Lub skrytykujemy, zamiast zignorować. Po pół roku usłyszysz o postępie, nigdy o geniuszu. Aha, i sztuka polityczna to męskie sprawy. Bycie świadomą, egocentryczną, ale bezsilną pod ciężarem pogardy nie wróży ci kariery zaszczytnej funkcji matki-skarbniczki rady rodziców w powiatowym przedszkolu publicznym numer pięć. Ucałuj rękę pana, przysłuż się macią społeczeństwu i pamiętaj – inni mają prawo do swojej strefy komfortu.

Akademia Sztuk Pięknych, wylęgarnia talentów spontanicznych, talentów męskich, kółko wzajemnej masturbacji – prawdziwa zupa mleczna przyprawiona szczyptą pikantnego molestowania.

Wracam do domu zero siódemką, łoskot żeliwnej bramy zwraca uwagę konferencji patologicznej spod delikatesów. Z kluczami między palcami mam jednak względne poczucie bezpieczeństwa, chociaż wiem, że ten trik wcale nie działa i tylko połamałabym sobie palce. Blokada na dwa zamki plus jeden dodatkowy, taki *fancy*, przenośny, widziałam na tik toku, że laski używają w wynajętych apartamentowcach w Nowym Jorku, bo fala przemocy. Ja mam na życiowym horyzoncie tylko Łódź, ale sceny są faktycznie amerykańskie.

Pod zlewem reklamówka z Lidla pełna reklamówek z Lidla, bo tydzień azjatycki, w zlewie kształty z ziemniaczanych obierek wróżą mi los Arachne. Przadź, odtwarzaj, nie twórz.

Gdy miałam dwanaście lat, mój stary zaglądał mi pod koldrę, a moja stara udawała. Już i tak wstyd w mieście, ojciec woźny, gdy ktoś zrzygał się w klasie, śmiano się, że „stary Oliwii pozbiera, może Oliwa będzie miała obiad”. Klasowość w klasie umknęła nauczycielce, która uśmiechała się pod nosem.

Siadam pod antresolą, spoglądam na ciśniętą w kąt teczkę. Rozważam swoje szanse – jestem dwie zaległe wypłaty od bezdomności, czy mogę sobie pozwolić na „chcę, żeby oczy kolegów studentów skierowane były na moje różowe płótna, nie różową waginę”? Odświeżam wirtualną polską, inflacja plus dziesięć procent, odpowiedź jasna.

Wstając, uderzyłam się głową w przestrzeń. To tylko szklany sufit.

5. *Liberté, égalité, fraternité*

– Millenialsi wpierdalają te nieekologiczne tosty z awokado, robią *bullet journaling*, myślą, że wystarczy wcześniej wstawać i obkleić *washi tapes* wypchany terminami kalendarz i można zarywać noce, by spłacić kawalerkę z antresolą. No i te korpoprace bez sensu. Szkoda, że Graeber nie jest zbyt dobrze znany w Polsce. Słyszałeś, że się zabił?

– Mark Fisher się zabił.

– A nie Graeber?

– Nie.

Śniadanie w Aioli – dobre, ale kawę dostaliśmy zimną. I pod oknem przepelnione przystanki tramwajowe. W listopadzie widziałem, że ktoś tam rzygał. Chyba lepsza jest Amfora. Bufet do dwunastej i dobra szakszuka. I babki mile nawet bez napiwku, chyba mają przykaz, bo dostajesz wodę za dara.

– Słyszałeś? Dziś pikietą.

– He?

– Solidemo na Dzień Kobiet.

– Nie mogę, mam ćwiczenia. I rozjechałam już dwie nieobecności. Ta głupia cipa każe potem odrabiać te jej gówniane artykuły. Chuj mnie bolą jakieś arachnologie.

Szukam gniazdko. Co za ekonomia. Albo praca w gastro za najniższą, albo ślęczenie nad rozdziałami. To dopiero praca bez sensu.

– Dodaj chociaż posta na sociale. O tym Dniu Kobiet. Bo się zesrają, że zapomnieliśmy.

– Gdyby nie *gender roles* to nie byłoby dni kobiet, dni mężczyzn, dni transów, jedna wielka jebana rodzina. Ale myślę o doktoracie z *gender studies*. Albo feminizmu.

– Nośny temat w sumie. Zawsze warto, bo przeciw władzy. Uniwersytety zawsze na barykadach.

– Jebać *gender* i feminizm. Bardziej chodzi mi o stypendium. Nie da się żyć w takich warunkach.

Najobrzydliwszym miejscem w Katowicach jest tunel koło Rialto. Rozkładają się tam straganiary, przejść nie można. Albo żebrzące cyganki z dziećmi. Dzieciaki oćpane, żeby wzbudzać litość. Nie wiem, czemu lewica nie mówi częściej o takich praktykach. Potem słucham, że chuja zrobimy, że utopia. Ale całowało się w tym tunelu, całowało. Mariacka, drugi rok studiów, pierwsze stypendia rektora przeżarte i wytatuowane.

Niech spłonę w oczach Matki Boskiej Klimatycznej, ale dajcie mi samochód, boże. Zakład Transportu Metropolitalnego, linia 12, *Ligota Akademiki*, co za smród. Najgorzej siedemnasta, gdy kończę zajęcia, siedzenia ujebane, jakby robole nie miały gdzie ściągnąć tych brudnych, capiących szmat. Byłaby powszechniejsza kultura związków zawodowych, to wywalczyliby jakieś solidne warunki pracy, no ale po co. Żabka, czteropak Lecha i pieprzyć współpasażerów. Nie wspominając o co drugiej starej prukwie oblanej Panią Walewską. Wspaniały miks olfaktoryczny.

Zastanawiam się, czy moje poświęcenie ma sens. Od pięciu lat tonę w książkach – Marks, Snyder, Žižek, Foucault, setki badaczek i badaczy, a ludzie ciągle nie słuchają. Ciągle nie rozumieją. Można wtłaczać im

BEZ OGRANICZEŃ

do tych tępych łbów, że pięćsetplus to nie rozwiązanie, że praca na czarno psuje rynek, niepłacenie podatków pogarsza sytuację wszystkich biednych, gej i lesba nie są największymi wrogami narodu, jedzenie mięsa zniszczy naszą planetę w ciągu kilkudziesięciu lat, a dalej to nienażarte, nie nachapało się hajsu, byle ja, ja, ja i moje kaszojady miały co żreć.

I jeszcze usiadł obok ten cholerny robol.

Nazywam się Milijon – bo za miliony kocham i cierpię katusze.

Anita Głowacka – dla przyjaciół Anot. Niebinarny redaktor magazynu „Szajn”. Studiuje filologię polską oraz twórcze pisanie i marketing wydawniczy. Współtworzy anarchistyczny literacko magazyn Szpol.pl. Interesują go_ją badania na pograniczu literaturoznawstwa i socjologii (głównie *gender studies*, *queer studies* i feminizmu). Pisze głównie publicystykę i poezję, a jego_jej siłą napędową jest gniew i niezgoda na brak empatii. Prowadzi warsztaty ciałopozytywne i wydawnicze.

Agata Gołębek

FORTEPIAN W GŁĘBI LASU

Chrzepty

W głębi lasu stoi fortepian. Nikt nie wie, jak się tam znalazł, ani jakim cudem przetrwał lata na łonie natury, gdy nad miasteczkiem i jego okolicą rozciągały się burzowe chmury lub kiedy słońce grzało tak mocno, że wypalało trawniki. Krążyło wiele legend dotyczących tego przedmiotu, ale chyba nikt nie znał jego prawdziwej historii. Ci, którzy mogli coś wiedzieć, dawno już odeszli z tego świata. Dlatego ludzie wymyślali swoje własne opowieści, żeby straszyć niegrzeczne dzieci, zgrywać bohaterów przed wybrankami, usprawiedliwiać głupie zakłady lub żeby mieć o czym mówić przy ognisku.

Przyjechałam do tego miasteczka wiedzona wewnętrznym głosem. Zdaję sobie sprawę z tego, jak idiotycznie to brzmi. Może uznasz mnie za wariatkę, ale tak, rzuciłam wszystko, pozbyłam się ciężących mnie rzeczy i wyjechałam do miejsca tak odległego, by żadne widmo przeszłości nie mogło mnie dosięgnąć. Potrzebowałam świeżego startu, nowej historii i nowych bohaterów w swojej opowieści. Musiałam stworzyć siebie na nowo, a czy istniało miejsce lepsze na ziemi niż Chrzepty? Pewnie nigdy nie obila ci się o uszy ta niecodzienna nazwa. Nic w tym dziwnego – na niektórych mapach nawet nie ma tej wsi. Ja sama nie wiedziałam o istnieniu tego miejsca, a trafiłam tutaj zupełnie przypadkiem, choć jest to historia na inny dzień. Dziś chcę ci opowiedzieć o fortepianie.

Instrument był dla Chrzeptów tym samym, czym dla innych miast pomnik znanej osobistości, niezwykle muzeum czy piękny rynek. Dla miejscowych był to element krajobrazu, rzadko budzący zainteresowanie, ale dla turystów był atrakcją. A raczej „byłby”, gdyby rzeczywiście jacyś turyści odwiedzali to senne miasteczko

położone w sercu lasu. Oczywiście czasem zdarzali się przejezdni, ale zazwyczaj ludzie omijali to miejsce szerokim łukiem. Też bym tak zrobiła, gdyby nie mój wewnętrzny głos. Choć czułam niepokój, postanowiłam zatrzymać się w pokoiku nad sklepem. Nie spodziewałam się tylko, że mój pobyt przeciągnie się do tego stopnia, że zacznę szukać lokum na stałe. Ale znowu odbiegam od tematu. Przecież nie jesteś tutaj po to, żeby słuchać o perypetiach mojego życia. Chcesz poznać historię owianego tajemnicą fortepianu, o którym ciągle mówię, niczego jednak nie wyjaśniając. Muszę cię ostrzec, że jedyne, co wiem, to strzępki relacji zbierane w różnych zakątkach Chrzeptów. Postanowiłam wybrać kilka najważniejszych, w których, według mnie, gdzieś ukryta jest prawda. Ja szukam odpowiedzi na swoje pytania, ale być może w trakcie opowieści dostaniesz odpowiedzi na twoje.

Barbara

Barbara to najstarsza mieszkanka Chrzeptów. Nie ma rodziny, przyjaciół, żyje w samotności, ale codziennie opiekuje się nią miejscowa pielęgniarka – w naszej miejscinie nie ma czegoś takiego jak dom spokojnej starości, tu się umiera po cichu, w swoich czterech ścianach. Ma prawie sto lat i choć jej ciało odmawia posłuszeństwa, to umysł nadal ma ostry jak brzytwa. Barbara uwielbia opowiadać historie. Problem w tym, że coraz mniej ludzi chce ich wysłuchać. Dlatego też nigdy nie zapomnę, jak rozjaśniła się jej twarz, gdy przyszłam w odwiedziny i poprosiłam o opowieść. Miałam jednak wrażenie, że jej radość zmalała, gdy dowiedziała się, że chcę posłuchać o fortepianie.

– Jest tyle ciekawych historii. Chociażby ta o zaginionym ojcu Pawlakowej. Wyobraź sobie, że przepadł na wojnie, wrócił po kilkunastu latach i zdawał się utknąć w czasie.

– Utknąć w czasie? – zapytałam.

– No tak. Żył przeszłością. Chyba poprzestawiało mu się w głowie i nie miał pojęcia, ile czasu minęło. Nie chciał uwierzyć, że stojąca przed nim kobieta z siwymi pasmami włosów to jego ukochana córeczka. Kompletnie stracił rozum. O, albo historia Martyli. Chłopaczek miał trudne życie, w domu rodzice rozpętali mu piekło, ale jakoś udało mu się wyjść na ludzi. Wyjechał potem do wielkiego miasta, dorobił się majątku, założył rodzinę, a później wrócił na stare śmieci. Zaczął pić. Wkrótce niestety coś w nim pękło i zabił swoją rodzinę, a na sam koniec załatwił siebie. Ludzie gadali, że zaczęło go prześladować widmo ojca. Stary Martyla to był tyran jakich mało, chłopak najwyraźniej musiał coś w genach odziedziczyć – powiedziała Barbara z dziwnym spokojem, zupełnie jakby zapowiadała tygodniową pogodę. Jej sposób wypowiadania się tak samo bawił, jak zatrząsał.

– Dosyć to makabryczne.

– To nie wszystko, jest jeszcze więcej. Chrzepty to miasteczko opuszczone przez Boga.

– No dobrze, ale ja chciałam posłuchać o fortepianie. Z nim też wiąże się jakaś krwawa i smutna historia?

– Z tym starym gratem? Błagam cię. Ludzie, szczególnie młodzi, ubzdurali sobie, że w jakiś magiczny sposób fortepian znalazł się w środku lasu, że grają na nim jakieś wróżki albo inne wymyślone stwory. A to po prostu śmieć, który ktoś porzucił, bo nie był mu potrzebny. Takich rzeczy na zwykły śmietnik nie wywalisz, a na wysypisku jeszcze chcą od ciebie pieniędzy. Szkoda marnować czas na rozmowę o tym przedmiocie. Wierz mi, dziecinko. Gdyby naprawdę była z nim związana jakaś ciekawa historia, już dawno bym ci o tym powiedziała.

Nie chciałam wierzyć Barbarze. Po pierwsze, wydawało mi się, że jest coś, o czym mi nie mówi. Po drugie – tak dziwne zjawisko jak stary fortepian w lesie musi mieć jakąś niezwykłą historię. Być może tendencja do doszukiwania się spisków i odrobiny magii w otaczającej nas rzeczywistości jest wpisana w ludzką naturę. Nie zmienia to jednak faktu, że nawet jak na standardy Chrzeptów, musiało istnieć drugie, bardziej tajemnicze i być może mroczniejsze dno historii instrumentu.

– Ale naprawdę pani myśli, że ktoś zadalby sobie tyle trudu, żeby przenieść fortepian w głąb lasu, łącznie z siedziskiem? I jak wytłumaczyć to, że fortepian dalej stoi?

– Nie wiem, dziecko – odparła Barbara z lekką irytacją pobrzmiewającą w głosie. – Ten fortepian jest niemal tak stary, jak ja. Na świecie dzieje się wiele rzeczy, dobrych i złych, które są warte więcej uwagi niż ten przedmiot. A co do jego stanu... Cóż, las dobrze konserwuje. Dlatego tam grzebiemy zmarłych. Myślę, że jakbym odkopła mojego starego, to jeszcze mogłabym zobaczyć wyraz twarzy, jaki miał tuż przed śmiercią. To ci dopiero heca!

Powiedziałam wcześniej, że umysł Barbary jest ostry jak brzytwa i nie minęłam się z prawdą. Nigdy jednak nie stwierdziłam, że umysł ten jest całkowicie normalny.

Staruszka uraczyła mnie jeszcze kilkoma drastycznymi historiami, od których rozboleła mnie głowa, lecz o fortepianie nie wspomniała już ani razu. Pamiętam, że nie mogłam się nadziwić, jak wiele zbrodni i katastrof zdarzyło się w przeciągu stu lat w tak małej i niemal wyludnionej miejscowości jak Chrzępty. Zanim wyszłam, zadałam jedno pytanie, którego później żałowałam, bo odpowiedź Barbary zjeżyła mi włosy na głowie.

– Pani Basiu, wcześniej powiedziała pani, że Chrzępty to miasteczko opuszczone przez Boga. Co pani miała na myśli?

– No jak to co? Jego już tu z nami dawno nie ma. Przeraził się swojego dzieła i odszedł. Zostaliśmy my i las.

Tadeusz

Tadeusza poznałam pod sklepem. Siedział na ławce i prosił o dwa złote. Kiedy zapytałam na co, wprost odpowiedział, że na piwo. Obiecałam mu, że kupię trzy, jeśli zgodzi się powiedzieć mi coś na temat fortepianu. Choć nie mieszkał w Chrzęptach tak długo, jak Barbara, to podobnie jak ona i fortepian, stanowił element lokalnego krajobrazu. On i jego ławeczka – nierozłączny duet.

– Co taka panusia robi w Chrzęptach z takim menelem jak ja? – zapytał Tadeusz, otwierając puszkę. Najpierw rozległ się charakterystyczny syk, a później dało się wyczuć specyficzny zapach chmielu.

– Już mówiłam. Chciałam posłuchać o fortepianie. Interesuje mnie jego historia.

– To długa opowieść – odpowiedział mężczyzna, świdrując mnie wzrokiem.

– Dlatego kupiłam trzy piwa zamiast jednego – rzuciłam, czym rozśmieszyła Tadeusza. Pierwsze piwo pochłonął niemal natychmiast, nie wypowiadając nawet słowa. Znów – charakterystyczny syk i zapach. Miałam wrażenie, że zaczyna mi szumieć w głowie. W połowie drugiej puszki Tadeusz zaczął mówić.

– Powiem szczerze, że osobiście mnie tam nie było, kiedy go do lasu pakowali. Chyba nikt nie wie, jak on się tam znalazł. Pewnego dnia po prostu się pojawił i został. Najpierw budził zainteresowanie, później krążyły wokół niego różne historie, zazwyczaj bardzo straszne. Mój świętej pamięci ojczulek czasami, kiedy byłem niegrzeczny, mówił mi o szalonej pianistce, która wabi za pomocą swojej gry ludzi do lasu i ich zjada. Teraz to brzmi idiotycznie, ale kiedyś naprawdę w to wierzyłem i byłem przerażony. Bywały noce, że słyszałem cichą muzykę i byłem pewny, że ta pianistka idzie po mnie, ale potem odkryłem, że to mój ojczulek siedział pod drzwiami i puszczał ze starego magnetofonu jakieś kasety. Na początku byłem wściekły, ale ostatecznie śmiałem się razem z nim. Nie miałem mu tego za złe. Gdybym miał swoje dzieci, to też pewnie bym z nich jaja sobie robił.

– Czyli nie macie tutaj żadnej rodziny? – zapytałam.

– A wyglądam, jakbym miał? Zawsze byłem nieśmiały w towarzystwie kobitek. Dzieciaka chciałem, ale do tanga trzeba dwojga, a ja sam nie wiem, czy byłbym dobrym ojcem.

– Nie myślałeś, żeby stąd wyjechać?

– A niby gdzie? Tu jest mój dom. I tu leży mój ojczulek. Dla ludzi takich jak my nie ma miejsca poza Chrzęptami. Człowiek zapuszcza tu korzenie jak te drzewa. I nie ma siły, żeby się stąd wyrwać. Choćby ten,

jak mu było... Martyła. Chciał chłop wyjechać, życie sobie na nowo ułożyć, a i tak wrócił i skończył marnie. Może gdyby nie opuścił Chrzeptów za pierwszym razem, do tragedii by nie doszło?

– Myślisz, że to była kara? Za to, że opuścił Chrzepty?

– Myślę, że miał nierówno pod sufitem – powiedział Tadeusz, zgniatając drugą puszkę.

– Tadeusz, powiedziałeś wcześniej „ludzie jak my”. Co i kogo miałeś na myśli? – zapytałam, ale mężczyzna mi nie odpowiedział. Zamiast tego uśmiechnął się tajemniczo i wbił wzrok w dal. Otworzył trzecią puszkę. Syk i zapach chmielu.

Zośka

Zośka to młoda i wesoła dziewczyna, która marzy o tym, by wydostać się z Chrzeptów, ale potrzebuje pieniędzy. Niejeden chłopak się za nią ogląda, ale ona wie, że związanie się z którymkolwiek z nich będzie oznaczało pozostanie w Chrzeptach na zawsze, a tego chciała za wszelką cenę uniknąć. Dlatego każdego dnia od rana do wieczora próbuje zarobić na nowe życie. Pracuje w sklepie, pod którym urzęduje Tadeusz. Tak ją poznałam – podsłuchiwała naszą rozmowę i przy moich następnych zakupach postanowiła mi opowiedzieć swoją wersję historii o fortepianie.

– To dziwne, ale romantyczne miejsce. Człowiek ma ciarki, kiedy tam jest, szczególnie nocą, ale to dodatkowy dreszczyk emocji, jeśli wiesz, co mam na myśli – powiedziała dziewczyna, rzucając mi znaczące spojrzenie spod okularów.

– Ludzie tam naprawdę chodzą na randki?

– Kochana, na randki to się chodzi do kina albo restauracji. Młodzi idą się tam bawić. Tylko... od jakiegoś czasu już coraz rzadziej. Kiedy jeszcze chodziłam do szkoły, to albo robiło się tam imprezy, albo wysyłaliśmy tam kogoś za karę w nocy, żeby pokazał, że ma jaja. Powiedzmy, że każdy, kto chciał należeć do fajnej paczki w szkole, musiał przejść taki chrzest. Z tego, co wiem, to taka tradycja istniała już wcześniej. Skład paczki może się zmieniać, ale ona sama istnieje nieprzerwanie. A kiedy przychodzisz do szkoły, możesz albo należeć do tych fajnych, albo być nikim.

– Ty przesłaś taki chrzest? Jak było?

– Okropnie! W takim miejscu wyobraźnia działa. Szczególnie, że ta część lasu jest... bardziej opustoszała. Nie chodzi mi tylko o ludzi, ale też o zwierzęta. Nawet ćwierku ptaków nie słychać. Jesteś tylko ty, las i ten przeklęty fortepian. Mało kto wytrzymał tam choćby godzinę. Oprócz Martyli, ale sama nie wiem, czy w to wierzyć.

– Martyła? Ten, który zabił swoją rodzinę?

– No tak. Chciał należeć do paczki popularnych dzieciaków. Ponoć przesiedział całą noc w tamtym miejscu. Nie wiem, jak było naprawdę. Mój tata był jednym z tych, którzy młodego Martyłę do lasu wysłali. Niezbyt jest skory do rozmów na ten temat, ale pamiętam, jak kiedyś mi powiedział, że właśnie wtedy Martyli odbiło. Wtedy Martyła się zmienił. Krótco potem umarli jego rodzice, a on sam wyjechał. Resztę historii już znasz.

Pytania bez odpowiedzi

Tak jak ty, nie dowiedziałam się za dużo. Ludzie plotkują, jedni z większym sensem, drudzy z mniejszym. Ile prawdy jest w słowach mieszkańców? Tego nie wie nikt. Nikt nie zna odpowiedzi na pytanie, jak fortepian znalazł się w środku lasu. Nikt nie wie, dlaczego. Nikt nie wie, co wydarzyło się tej nocy, kiedy Martyła przechodził swój chrzest i nikt nie wie, dlaczego zabił swoją rodzinę. Czy jest jakieś powiązanie między fortepianem, lasem i makabryczną historią Chrzeptów? Wolę nie pytać na głos, już i tak mają mnie za dziwaczkę,

choć bardziej swojską. Ja też zaczęłam zapuszczać tutaj korzenie, ale są one jeszcze na tyle słabe, że łatwo mnie wyrwać – z tego miejsca, z tego życia, z tej rzeczywistości.

Chrzepty to marne miejsce na deweloperkę. Jeśli chcesz tu zamieszkać, to albo wżeniasz się do rodziny, która ma tu swój dom, albo kupujesz ten, którego właściciele nie żyją. Mi przyszło zamieszkać w domu Martyli. Było to jedyne wolne i najtańsze lokum w okolicy, a skoro chciałam w Chrzeptach zostać na dłużej, nie mogłam gnieść się w wynajętym nad sklepem pokoiku. Dom został wyremontowany, po makabrycznej zbrodni nie zostało ani śladu. Czy się boję? Na początku spałam przy zapalonym świetle, ale wkrótce mój oddech zlał się z dźwiękami, jakie wydawał budynek. Obcość przerodziła się w coś znajomego.

Nocą, kiedy mam otwarte okno, słyszę szum drzew, szczekanie psów, dźwięki lasu. Ostatnio jednak zaczęłam słyszeć muzykę. Jest bardzo cicha, niemal niesłyszalna dla ucha. Być może gra tylko nocą. Być może w ciągu dnia też, ale zagłusza ją zgiełk codzienności.

Mieszkam sama. Nie mam nikogo, kto dla żartów puszczałby muzykę pod drzwiami mojej sypialni. Dlatego zaczęłam szukać informacji o fortepianie. Moje pytanie nie dotyczy jego historii czy niebywalej wytrzymałości. Ja chciałabym wiedzieć, kto nocami uderza w klawisze instrumentu i jakim cudem dźwięk jest bez skazy.

Nie czuję strachu. Czuję dziwny spokój. Wołanie wewnątrz mnie umilkło. To tak, jakbym w końcu znalazła swoje miejsce na ziemi.

Agata Gołąbek – studentka filologii polskiej oraz twórczego pisania i marketingu wydawniczego, wielbicielka wszystkiego, co tajemnicze i przerażające. Kiedyś marzyła wyłącznie o zostaniu pisarką, dziś sama nie wie, co przyniesie jej przyszłość. Uzależniona od kupowania książek i podziwiania ich na swoim regale (z czytaniem bywa różnie). Interesuje się grozą, feminizmem, kwestiami społecznymi, a kobiety demoniczne to jej badawczy kink. Redaktorka naczelna magazynu „Szpol”.

Miłosz Jędrysik

BURZA

Czy mieliście okazję poznać uczucie choćby najmniejszego przebłysku nadziei w chwilach cierpienia?

Jeśli nie, to dobrze.

A może źle?

Wybawienie z mroku może w końcu nadejść, zamiast następnej spodziewanej rany. Komu to oceniać?

Była droga. Wąska i czarna. Jak inaczej mogła wyglądać samotna nić asfaltu podczas pochmurnej nocy? Było i światło – pojawiło się przebłyskiem. Krótkim zstąpieniem jasności, jakich wiele ma miejsce w mrocznych chwilach. Towarzyszą im wiatr, chłód, głośny szum. Burza to jeden z wielu symboli odnowienia. Zdała się zjawić w idealnym momencie, by swą symboliką wesprzeć przebudzoną na powrót w twym sercu nadzieję. Jednakże te zdarzenia na niebie mają to do siebie, że gdy wychodzą poza świat symboli, często niosą ze sobą zniszczenie. Raz wielkie, innym razem nie. Tym razem burza miała jedynie skruszyć jedną myśl. Światło zstąpiło z nieba, by two ciało mogło połączyć się z ziemią. Krótki błysk, zbyt krótki, byś go zauważył. Przez ciało przelało się to światło, przebłysk jakże daleki od nadziei. Zesłany tylko na tę powłokę, lecz nie na umysł.

To był bodaj środek lata, upalnego, jak to miewają lata mieć w zwyczaju. Wracalesz do miejsca zwanego swoim domem z miejsca zwanego Domem Przyjaciela. Te domy były położone blisko siebie. W linii prostej droga byłaby jeszcze krótsza. Ale nie chodziło się w linii prostej. Po coś istniały te wąskie drogi z szarego asfaltu,

rozlane wśród czworoboków żółci z brązem i nieczęstej, nieforemnej zieleni. W dotyku asfalt przypominał bardzo grube, ciasno stulone drobiny. Za dnia bardzo gorący, nocą zaś bardzo ciemny. Taki już jest asfalt.

Jego nici łączyły tak wiele domów. Było to nieodzowne. Lecz nie musiały łączyć ze sobą żadnych ludzi. Tego dnia jednak miały ponownie połączyć cię z Przyjacielem.

Z Przyjacielem znałeś się odkąd byliście dziećmi. Nie zdążywszy wyjść jeszcze z okresu wczesnej młodości, stało się tak, że się rozdzieliliście. Tylko ty mogłeś to wiedzieć, i tylko ty nie potrafiłeś tego nigdy przyznać, ale jako dziecko tak naprawdę polubiłeś tylko Przyjaciela. Ludzie zawsze przychodzili i odchodzili. Jak przychodzili, to z przypadku. Gdy odchodzili, to zwykle bardzo szybko. A nawet gdy zostawali na nieco dłużej, w końcu także znikali. Żaden z nich nie został przyjacielem.

Poza Przyjacielem.

„Przyjaciele”? To tylko słowo. Jego nazwałeś tym imieniem dużo później, gdy już dawno nim był. Ile w tym prawdy, a ile kłamstw mających zagłuszyć głos sumienia? O ironio, to była prawda.

Żaden był z ciebie towarzysz dla Przyjaciela. Ale zarazem naprawdę był ci prawie bratem. Jak więc to działało?

Gdy nadal byliście dziećmi, aczkolwiek nieco starszymi, na Przyjaciela spadł ból. Co zrobiłeś, by go wesprzeć? Wiesz najlepiej, że niewiele. Czy to dlatego, że lekceważyłeś jego cierpienie? Nie tak to wyglądało. W tym momencie tobie także było dane dowiedzieć się, czym jest ból. Ale czy później wytłumaczyłeś to Przyjacielowi albo swemu sumieniu? Nie było tak.

Wiesz, że ludzie w obliczu bólu dzielą się na dwa typy. Są tacy, którzy znając cierpienie, pomogą bliskim, którzy je odczuwają. Wiedzą bowiem sami, przez co przechodzą. Drugi typ to ci, którzy zaznali bólu i chcą, by inni też go poczuli.

Nie chciałeś bólu swojego towarzysza. Wiedziałeś, że niewiele potrzeba z twojej strony, by okazać wsparcie. Ale tego nie zrobiłeś. Twierdziłeś w głębi duszy, że nie masz serca, ale wkrótce miałeś się przekonać, że jednak je masz. I dosłownie, i w banalnej przenośni.

O ironio! Miałeś je, na dodatek dość wrażliwe, a przeznaczenie w przypiływie okrutnego humoru chciało, że było też wyjątkowo żywotne w twoim ciele. Przez to nie było mu dane zatrzymać się od razu. Miało jeszcze bić, choć nie za długo, przelewając przez ciebie życiodajny ból.

Czułeś ból, więc pozostała ci resztką tłącej się świadomości. Pozwoliła ci ustalić, że jeszcze żyjesz. I że twoje ciało czuje ból. Podobno tylko żywi potrafią czuć ból. Podobno też śmierć nie niesie żadnych odczuć, nawet ulgi. Więc pozostają uczucia, które towarzyszyły śmierci. Twoje ciało leżało, przykryte nocą, pod namiotem nieba. Nie czułeś rąk, przez nogi przetaczał się dreszcz mrowienia. Ale co to mogło być? Nigdy nie było ci dane poznać, że to nie dziwne uczucie ustąpiło litościwie, lecz jedynie nie mogłeś już tego czuć. Winna tego była samotna moneta w twojej kieszeni, teraz przeistoczona pod wpływem światła w formę płynną, by zadać w odpowiednim miejscu oparzenia na tyle dogłębne, byś nie mógł już ich poczuć. Niewielu zdaje sobie sprawę, że od okrucieństwa bólu o wiele straszniejszy jest czas, przez jaki jest się mu poddawany. Do nabycia tej świadomości wyobraźnia jest zbędna. To trzeba poznać. Lepiej spłonąć, niż płonąć.

Te dwie drogi, twoja i Przyjaciela, miały się rozejść. Każdy z was miał kompas wskazujący inny kierunek, a żaden z nich nie był skierowany na Słońce; między tymi drogami stała też wysoka ściana kompletnej ciszy. Zadawałeś nieme pytanie: „gdzie jesteś, Przyjacielu mój”? Hipokryzja? Przecież to twoje decyzje w sposób bezpośredni przyczyniły się do przerwania ciągłości więzi z Przyjacielem.

Okres, gdy nie było ciebie w życiu twojego Przyjaciela, ani nie było go w twoim, pamiętałeś słabo, chociaż

te lata nie były tak odległe. Czy dlatego, że nic istotnego w tym życiu się wtedy nie działo? Nie. Wydarzyły się właśnie rzeczy najistotniejsze, które zajęły twoją uwagę. Poznałeś swą ukochaną osobę. Więc jednak miałeś serce zdolne do miłości. Choć tak właściwie uczucia nie są związane z tą częścią ciała, a w tobie takie twierdzenia budziły dyskomfort. Nadmierna drobiazgowość, ale to bodaj najmniejsza z twych wad, i to nie ona sprawiła, że straciłeś Ukochaną. A ją pokochałeś szybko i kochałeś tak bardzo, jak jest to możliwe. Właśnie to miało być powodem największych z twych smutków, bowiem Ukochana nie pokochała ciebie. Czy cię to zdziwiło? Nie za bardzo. Bo za co mógłby cię ktokolwiek pokochać? Samo doprowadzenie do sytuacji, gdy ludzie cię akceptowali, było sukcesem. Niemniej, ludzie robią podobno rzeczy szalone w imię miłości. Ty robiłeś głupie.

Nie było dla ciebie bólu nie do przeżycia, jeśli zadawała ci go Ukochana, prawda? Zdrady, ranienie uczuć, przykre słowa. To były puste określenia, bo nic nie znaczyły. Nie negowały twojego uczucia, a winy Ukochana nigdy nie ponosiła za cokolwiek w twoich oczach. A ból nigdy nie ustępował, nigdy nie malał. Rany wciąż były otwarte i krwawiące. A gdy się wyszło poza symbolikę ran noszonych w pamięci, dało się dopatrzeć na twym ciele niejednej blizny. Tylko ty i Ukochana znaliście dokładną historię każdej z nich. Ale nic one nie znaczyły wobec ran na uczuciach. A i te ostatnie były niczym wobec miłości.

Jej zniknięcie wystarczyło, byś stracił wszystkie chęci do życia. Nie było dnia, w którym o niej nie myślałeś, w którym byś nie tęsknił i w którym byś nie żałował wszystkich swoich błędów. Ukochana porzuciła cię dla kogoś innego. Jak to w ogóle przeżyłeś? Nie wiedziałeś. I nie miałeś pojęcia, jak żyć dalej.

I w tej niewiedzy ponownie pojawił się Przyjaciół.

Ostatni przejaw czegoś, o co jednak warto zaważyć i dla czego warto żyć. Dwoje ludzi, najważniejszych w tym jednym życiu. Najważniejsza i najprawdziwsza przyjaźń oraz najsilniejsza i nieskończona miłość. Byłeś zdolny poczuć miłość obsesyjną, absurdalną i wieczną. Znów spotkaliście się z Przyjacielem, lecz wasze więzi nie zostały odtworzone. Wcale nie musiały, gdyż trwały tak naprawdę przez cały ten czas. Podczas gdy obydwoj dorastaliście osobno jako ludzie, każdy żyjący swoim życiem, przeżywając swoje własne niedole i dojrzewając na swój sposób, jednocześnie stało się tak, że nadal byliście sobie bliscy.

Jedyną zaletą twojego położenia teraz, w tych chwilach, gdy zstąpiło światło, był okazany ci przez nie akt litości, sprawiający, że wasza relacja nie będzie trwała dłużej niż te ostatnie chwile świadomości, i nie zdąży poddać się pisanemu jej rozpadowi. I nie zdążysz stać się zawodem po raz kolejny. Ale tego się nie dowiesz. W tej chwili, ostatniej, zanim za sprawą jednego z niezliczonych błysków światła wszystko się urwało, wracałeś ze spotkania z Przyjacielem, między wami ponownie było dobrze, a w tobie przygotowywała się do zakiełkowania odrobina nadziei. Jednak ta przyjaźń w nieznacznie odległej przyszłości miała się skruszyć. Wygląda na to, że właśnie spotkał ją lepszy los. Od opatrności, przeznaczenia, przypadku. Wszystko jedno.

Nie było ci dane zaznać tego bólu, bo twój ból zwracał się ku końcowi. Dla ciebie mógł to być tylko koniec, bez żadnej wiary w nowy początek. Dla ciebie żadna wiara nie istniała. Istniała dla ciebie natura i jej dzieło. Z niej się narodziłeś, do niej przynależałeś, z niej pochodziły wszystkie źródła twojego bólu i to ona go zakończy.

W bólu żyłeś, i w bólu odchodziłeś. Jak gorące może się stać ludzkie ciało? Jaką temperaturę osiągnęło twoje własne, gdy połączyło się z niebem? Niewielka część twych mięśni została zwęglona, cała reszta spaliła się w nieco mniejszym stopniu, a część niedogotowała we wrzącej wodzie.

Nasycona tłuszczem wątroba się usmażyła. Czy to właśnie z tego powodu ciało tak bardzo się skuliło? Chociaż mózg w większości jest wodą i tłuszczem, niemal wcale nie zechciał się przetworzyć: ni to ugotować, ni to usmażyć. Jakby za wszelką cenę chciał ci zostawić cząstkę świadomości w tych strasznych chwilach. Początkowo czułeś jeszcze większość swych wewnętrznych organów. Powoli, z pewnością nierytmicznie bijące serce, nadpalony żołądek, płuca. Twoje życie chyba było po to, by pokazać największe możliwe natężenie iro-

nii. Bo jak inaczej można to było nazwać? Myślałeś, że nie miałeś serca, a na pewno go nie używałeś. Twoje decyzje dowodziły, że mózgu też nie potrzebowałeś. Starczyłby sam rdzeń kręgowy. Ale mózg wolał obdarować cię właśnie teraz tak wieloma funkcjami i wyjątkową świadomością tego, że on jest. Działa i pobiera dane ze wszystkich części układu nerwowego. Nigdy tak dobrze nie czułeś swego ciała, mimo iż czułeś go tak niewiele.

Lecz i ból miał się mieć ku końcowi. Nareszcie, w pewnym sensie. Mimo nieczystego sumienia nie bałeś się śmierci. W resztkach świadomości wiedziałeś już, co się teraz stanie, i nie bałeś się nieuniknionego. Albo czułeś pewną ulgę, że to już koniec. Co pomyślałeś, nie było znane nikomu. Świadomość także zanikała, z każdą kolejną chwilą coraz szybciej. Ciało i umysł coraz ciaśniej otulała nowa, twardsza warstwa ciemności.

Było lato. Leżał pośród zieleni traw. Po czystym, doskonale błękitnym niebie spacerowało piękne, białe Słońce. Przyjemnie podgrzewało swym światłem skórę. W pobliżu było słychać szum wody. To był piękny dzień, nieważne, co by miało się wydarzyć. W dni takie jak ten może stać się wszystko. Choćby i ten dzień miał być ostatnim w życiu. I dla niego był ostatnim dniem, ostatnimi jego chwilami. Nie było już żadnego bólu. Ciało miało się dobrze, a serce nie krwawiło. Każda część jego istoty była spokojna. Dopiero po jakimś czasie spostrzegł, że nie jest sam. Była przy nim Ukochana. Uśmiechała się i świeciła opromieniona przez Słońce. Patrzyła na niego. Była najpiękniejszą ze wszystkich istot, osadzona w najpiękniejszej scenerii. Więc sam w ostatnich chwilach życia trafił do miejsca, gdzie był ten jeden anioł, w którego świętość zawsze wierzył. On sam nie pasował do tego świata i wiedział, że i z niego niebawem odejdzie. Jednak jej obecność dawała spokój i pogodzenie się z losem. Nie było potrzeba niczego więcej.

Jednakże wtedy przyszła nowa świadomość. Ukochana nie chciała tutaj być, przy nim. Wybrała kogoś innego już dawno temu. Nie była szczęśliwa z nim, nie mogła więc chcieć być ostatnim widokiem w jego życiu. W ogóle nie chciała przy nim być. Spokój został podburzony przez żal. Pozostało więc tylko jedno. Rzec: „Odejdź, moja Ukochana. Wiem, że nie chcesz tu być. Bądź szczęśliwa”. I Ukochana odeszła, by być szczęśliwa.

Oddała mu swoje ostatnie spojrzenie w jego życiu, by nigdy więcej jej nie spotkał, nie poczuł jej bliskości. Gdy i jej wędrówka przez życie będzie się miała ku końcowi, również się nie zobaczą. Nie trafią do tego samego miejsca, to było pewne. Odeszła, jak przed laty. Dwukrotne odejście tej samej istoty, najboleśniej za pierwszym razem, teraz było chwilą najprawdziwszego, największego szczęścia, jakie można było poczuć. Istota, której szczęście było najważniejsze, bez wyrzutu i oczekiwania odeszła, by móc osiągnąć pełnię swego szczęścia. Ukochana mogła zaznać zbawienia. I wiedział, że go zazna. Nie mógł zaznać swego szczęścia, będąc przy niej. Zaznał szczęścia, gdy ona sięgnęła po swoje szczęście. Dopiero drugi raz w życiu w jego sercu pojawiło się prawdziwe, żywe światło, w ostatniej sekundzie, zanim umysł zatonął i ostatecznie stał się jednym z ogarniającą go od zawsze ciemnością.

Na ziemi leżało ciało. Lecz ciało nie mogło już rozpoznać twardości i chłodu ziemi. Nad ciałem niebo było ciemne, ale i ciemność powoli zaczynała się rozpyływać. Ciemność świata była już ciała obojętna, gdyż umysł w tych godzinach poznał, czym jest rozwianie ciemności. Świtało. Miał nastać dzień. Kolejny dzień, nad którym przeleją się fale smutku, bólu, przerażenia i samotności. Lecz zawsze nadchodzi także czas wytchnienia, po którym na nikogo nie zstąpi już ból. Istnieją ciemności, które nie zaznają światła. Lecz nie istnieje ból, który nie zna końca. I każde ciało, każde serce i każdy umysł kiedyś pożegna się ze swym bólem. Jeśli jest coś pewnego na tym świecie, to koniec bólu. Dla każdego. Ból staje się sprawiedliwością.

Miłosz Jędrzyk – ukończył studia pierwszego stopnia na kierunku sztuka pisania. Odbiorca różnych tekstów, nie tylko literackich, autorstwa wielu twórców. Nie preferuje konkretnych rodzajów twórczości, ceni próby dialogu z różnymi stylami i doszukiwanie się nowych oblicz tego, co poznane.

Marta Klon

SIEDEM PRZYKAZAŃ SZCZĘŚLIWEGO ŻYCIA

Dla mojego brata.

Dzięki Klonik, że wciągnąłeś mnie w cyberpunkowy świat.

Bez Twojego wkładu w moją popkulturową edukację, nie byłoby tego opowiadania.

Przykazanie IV: Uzupelnieniem przykazania II będące: Ze świrami też nie współpracuj

Komplikacje pojawiły się już na samym początku. Plan był taki, żeby szybko dotrzeć na miejsce i skontaktować się ze Stoxem, który pracował nad zabezpieczeniami. Nie chodziło o ich całkowite wyłączenie, bo to przecież wywołałoby natychmiastową reakcję ochrony i wszyscy mielibyśmy kompletnie przesrane, ale o to, by cholerstwo zwyczajnie wpuściło nas do środka, jak etatowych pracowników tego piekła. Sądziliśmy, że to będzie najłatwiejsza część zadania, po prostu banał, bo przecież mieliśmy do dyspozycji prawdziwego geniusza, który doskonale znał te systemy. Fakt, Stox bywał nieprzewidywalny, ale w takiej sytuacji raczej nikt nie brał pod uwagę, że mogłoby mu znowu odjechać. No i oczywiście odjechało.

Gdyby jeszcze dało się z nim jakoś racjonalnie porozmawiać, pewnie mielibyśmy szansę przywrócić go do chociaż minimalnego stanu świadomości, ale ten wariat wciągnął nas w wir swojego szaleństwa, komunikował się jakimiś chaotycznymi dźwiękami i wizjami przesyłanymi wprost do naszych mózgów, co spowodowało, że też byliśmy na granicy obłądki. Wołałem nie zgadywać, czym się naszprycował, ale obstawiałem, że była to kolejna samoróbka, która jak zwykle wywaliła go poza orbitę.

Podczas gdy jemu odwalało, my staliśmy już niemal całkowicie na widoku, przy samym wejściu głównym, bo to przecież nie budzi żadnych podejrzeń, i zachowywaliśmy się, jakbyśmy się srogo nawalili. Staralem się jakoś trzymać na nogach i nie wykrzykiwać kolejnych opowieści wariackiej treści, ale reszta ekipy w ogóle

nad sobą nie panowała. Wykrzywiało im twarze, powtarzali słowa, które w połączeniu ze sobą nie miały najmniejszego sensu, wymachiwali rękami, podskakiwali i robili coś, co przypominało pajacyki.

Kurwa, samo wejście do środka miało zająć nie więcej niż piętnaście minut, a już od ponad dziesięciu robiliśmy z siebie widowisko. Czas uciekał nieubłaganie, szanse na wydostanie Szczura z więzienia malały z każdej chwilą, za to drastycznie rosły na to, że nas również zgarną i wsadzą do Pudła. Moje zwoje mózgowe były już o krok od przepalenia. Znakomity plan, pomyślałem. Złapałbym się za głowę, gdyby nie to, że już niemal całkowicie straciłem kontrolę nad ciałem i zacząłem uprawiać jakiś przedziwny rodzaj gimnastyki artystycznej. Wiedziałem, że to koniec.

Przykazanie I: Powstrzymaj ciekawość

Nie mam pojęcia, jak długo wpatrywałem się w tę paczkę i ile myśli przeleciało mi przez głowę, zanim zdecydowałem się zajrzeć do środka. Ktoś podrzucił mi ją pod drzwi, bez żadnej informacji o nadawcy albo chociaż wskazówki dotyczącej jej zawartości, w dodatku owiniętą w jakiś niezbyt trwały materiał z odzysku, którego początkowo brzydziłem się dotknąć. W przeciągu kilku lat mieszkania w tej dzielnicy narobiłem sobie stanowczo zbyt wielu wrogów, brałem więc pod uwagę każdą ewentualność, przede wszystkim jednak obawiałem się, że w środku znajduje się coś, co szybko, acz raczej niebezboleśnie, rozwali mi łeb. Ostatecznie jednak ciekawość zwyciężyła. Dość się już nażyłem, a ostatnie dni nie napawały zbytnim optymizmem na przyszłość. Bez wątpienia było warto otworzyć tajemnicze zawiniątko, chociaż widok dziwnego, przestarzałego plastikowego nośnika danych rodem z dwudziestego pierwszego wieku zapewne wywołał na mojej twarzy wyraz szczerzego osłupienia. Nie wiem, jak wtedy wyglądałem, bo kompletnie mnie zamroczyło, ale dla postronnego widza byłaby to scena doprawdy komiczna. Albo do granic przerażająca.

– Wiesz co to jest? – zapytałem Eksa, chociaż już po jego pierwszym spojrzeniu wiedziałem, jaka będzie odpowiedź.

– Wiem tylko, że to nie jest technologia z ostatnich stuleci. Nawet w archiwach czegoś takiego nie widziałem. Na jakiej zasadzie to w ogóle działało? – Eks z fascynacją obracał plastikowe ustrojstwo w dłoniach. – I skąd ta pewność, że to jakiś rodzaj nośnika danych?

Zabrałem urządzenie i przyglądałem mu się przez chwilę w milczeniu.

– Inaczej po co by mi je przysyłali? Nikt nie traciłby czasu tylko po to, żeby sobie ze mną pogrywać. Ktoś podejrzewa, że jest na tym coś cennego, ale nie odkrył co i nie potrafi tego odczytać

– Ty też nie potrafisz. To potrafi tylko Szczur. A oboje wiemy, że tam, gdzie obecnie przebywa, łatwo wejść, ale wydostać się jest już znacznie trudniej.

Siedzieliśmy przez chwilę, wsłuchując się w dźwięki ulicy, dochodząc do tego samego, przygnębiającego wniosku. Ten przedmiot trafił do mnie nie dlatego, że wiem, jak odzyskać z niego dane, ale dlatego, że znam kogoś, kto mógłby to zrobić.

– Bez Stoxa nic nie załatwimy – mruknąłem z niesmakiem, jakby imię Stox kojarzyło się mojemu mózgowi z czymś wyjątkowo paskudnym, wręcz trującym.

– Ta, masz totalnie przesrane.

– Mamy – poprawiłem go i wyciągnąłem dłoń, którą ostatecznie niechętnie ujął.

Przykazanie II: Nie zadawaj się ze świrami

Pamiętam, jak kiedyś, na samym początku naszej znajomości, zastanawiałem się, dlaczego ona w ogóle chce z nami współpracować. Wydawało się to zupełnym szaleństwem – persona tak wysoko postawiona ryzykowała przecież o wiele więcej niż każdy z nas. Później dotarło do mnie, że im wyższy status, tym wyższa kontrola. Taki, znacznie bardziej niż ja czy Stox, pragnęła wolności. Mimo że była neopsychiatrą bogaczy i stać ją było na najlepsze, skrojone na miarę ciało, zdecydowała się na najmniej charakterystyczną twarz, jaką kiedykolwiek widziałem. Wybrała azjatyckie rysy chyba w najgorszym możliwym momencie – zaraz po tym nastąpiła kolejna moda na twarze made in Asia tworzone z tego samego, przesadnie wyidealizowanego szablonu i niemal wszystkie tutejsze kobiety wyglądały jak armia klonów. Od Taki różniły się co najwyżej tanią, tandetną skórą wyglądającą jak niegdysiejszy plastik. Zapytałem ją kiedyś, czy nie chciałaby zmienić nieco swojej fizjonomii, ale uznała, że to zbyt kłopotliwe, po czym zupełnie bez emocji stwierdziła, że nawet się do niej przyzwyczaiła, że czuje się trochę tak, jakby to była „rzeczywiście jej twarz”. Do dziś nie mam pewności, co właściwie miała na myśli.

Kiedy próbowała tłumaczyć chaotyczny potok słów wydobywający się z ust Stoxa, przyglądałem jej się niby obojętnie, podczas gdy w rzeczywistości szczerze podziwiałem jej niebywały spokój. Najlepiej z nas wszystkich radziła sobie z jego sposobem bycia i dziwaczną, poplątaną mową.

– Ze sto wyładowań albo jeszcze jakiś inny odłot, paranoja bez pojęcia. Ale to się da wykonać, znaczy da się ominąć, znaczy ja mogę, bo żaden z was nigdy. Za wysokie napięcia. Dla mnie już nie pierwszyna, zakodowane na ukrytym dysku. Blokada na amen – mamrotał, wklepując kolejną linijkę kodu w klawiaturę. Wydawał się jeszcze bardziej podniecony niż zwykle. Woląłem nie pytać, czy jest na odlocie, czy może tak się zachowuje „normalnie”. Ten temat był absolutnym tabu.

– Chodzi mu o to, że da się ominąć zabezpieczenia, już to kiedyś robił, pamięta, ale musi odkodować dane. Zabezpieczył je na wszelki wypadek i teraz ma problem, żeby się do nich dostać. Ale sobie poradzi. Jak zwykle. Pomoże uwolnić waszego znajomego. – Taki dokonywała szybkiej i bezbłędnej interpretacji bełkotu, podczas gdy Eks nerwowo stukał w stół.

– Znasz przykazanie: Nie zadawaj się ze świrami? – zapytał na zamkniętym kanale, do którego tylko my mieliśmy dostęp. – Pamiętasz, co było, kiedy ostatnim razem włączyliśmy go do akcji?

– Znam również uzupełnienie tego przykazania: Ze świrami też nie współpracuj – odpowiedziałem. Taki rzuciła nam podejrzliwe spojrzenie, jakby wiedziała, co robimy i chciała nas skarcić. Nie było czasu na wątpliwości. Nikt inny nie potrafiłby nam pomóc.

– Śpiewają dla mnie tylko zera i jedyńki, zera i jedyńki, nieskończoną pieśń o nieśmiertelności – podśpiewywał Stox, bujając się na boki. – Tylko zera i jedyńki, zera i jedyńki, jedyna prawda objawiona, moja matka i ojciec, rodzice wszechrzeczy.

Przykazanie III: Nie daj IM powodu, żeby cię zamknęli

Dziwnie jest nie mieć ciała. Początkowo to szalenie przerażające uczucie. Uczucie pustki. Ma się wrażenie, jakby nigdy się nie istniało. Trzeba się uczepić jakiejś myśli, próbować wyciszyć emocje, żeby zbyt szybko nie oszaleć. Zazwyczaj jednak jest to dość krótkotrwały proces. Umysł usilnie stara się zobrazować członki, twarz, oczy, powieki. Wyobraźnia pracuje na najwyższych obrotach. Potrzebujemy ciała, jakiegokolwiek, nawet jeśli mamy je tylko na chwilę i zmieniamy jak rękawiczki. Już kilkugodzinne wejście w sieć potrafi sporo namieszać w mózgu, a co dopiero kilkanaście lat w Puddle.

To, co tutaj się dzieje, jest trudną do opisanego abstrakcją. Jakby działa się wszystko i nic zarazem. Jest cały wszechświat i równocześnie nie ma nawet najmniejszej drobinki. W dokładnie tej samej chwili może być tak

jasno, że niemal nie da się otworzyć oczu i tak ciemno, że nie sposób byłoby dostrzec własnej dłoni przyłożonej do twarzy. Nieustająca cisza i koszmarny hałas towarzyszą sobie nawzajem. Czas pędzi jak szalony, chociaż wcale go nie ma. Miejsce, które składa się z niczego. Nie jest nawet miejscem, nie jest przestrzenią, nie jest obiektem ani wytworem wyobraźni. Jest najgorszym piekłem, jakie wymyślił człowiek, chociaż dla każdego osadzonego wygląda inaczej i funkcjonuje na odmiennych zasadach. Wiadomo tylko jedno – nikt nie wychodzi z niego taki sam. Opuszcza je wyłącznie groza i szaleństwo, nad którym nie da się zapanować, którego nie można okiełznać, którego nie można zrozumieć i wyleczyć. Po wyjściu będziesz cieniem tego, kim byłeś kiedyś. Pustką odzianą w syntetyczne przebranie człowieka.

Ale ja ciągle jestem sobą. Mówią, że szczury przetrwają nawet atomową zimę. Wierzę w to. Jestem Szczurem. Sprytnym i wytrwałym. Wiem, że wytrzymam.

Przykazanie IV: Uzupelnieniem przykazania II będące: Ze świrami też nie współpracuj – ciąg dalszy

Z tego kompletnego bajzlu wyciągnęła nas Taki, co w sumie nie było szczególnym zaskoczeniem. Pojawiła się nagle, jakby znikąd, w towarzystwie ubranych na białe serwisantów, którzy zgarnęli nas do dużego pojazdu z zaciemnionymi szybami. Próbowałem jakoś jej wytłumaczyć, co się stało i nawet wydawało mi się, że robię to całkiem sensownie, ale Taki w końcu uciszyła mnie stanowczym ruchem ręki.

– Bełkoczesz teraz gorzej niż Stox, więc zamknij się i spróbuj uspokoić. Nie on nawalił, ok? Jest jakaś potężna awaria, wszystko się w środku popieprzyło. – Pierwszy raz usłyszałem przekleństwo z jej ust. Zrozumiałem, że jest mocno wzburzona. – Nie wiem, czy ktoś zaatakował z zewnątrz, czy doszło do jakiegoś wewnętrznego chaosu. Stox był na haju, to fakt, ale jak te dane zaczęły się pchać do jego mózgu, kompletnie go odcięło. Gdyby trafiło na kogoś innego, zostałyby po nim tylko szczątki śmieciowych informacji. On oczywiście wytrzymał, a wytrzymał dlatego, że lubi ćpać swoje eksperymentalne mieszkanki.

– Że co czyli znaczy? – Wydukane przeze mnie słowa kompletnie nie chciały układać się w żaden sensowny szyk. – Żyje to świrem jest? Tfu! Świrem jest to żyje? Rozumiesz? – rzuciłem jej błagalne spojrzenie z nadzieją, że rozumie.

– Tak, przeżył dlatego, że ma nierówno pod sufitem. – Jej słowa jakoś niespecjalnie pasowały mi do neopsychiatry. – I wy też żyjecie dlatego, że nie byliście podłączeni bezpośrednio do sieci Pudła, tylko do niego. Uratował was przed naprawdą marnym końcem. Mam nadzieję, że jesteście wdzięczni. Wszyscy macie więcej szczęścia niż rozumu.

Wdzięczność nie była uczuciem, które w tamtym momencie mi towarzyszyło, ale obiecałem sobie, że postaram się jakoś je z siebie wyrzesać w przyszłości. Wtedy jednak marzyłem wyłącznie o tym, by niewyobrażalny hałas w mojej głowie chociaż na chwilę się uciszył. Kiedy zaczęły wstrząsać mną drgawki, pomyślałem, że chyba jednak nie wytrzymam, ale później poczułem ukłucie w okolicach karku, a zaraz po nim przyszła cudowna i jakże niedoceniana cisza.

Obudził mnie niewyraźny głos Eksa. Szybko oceniłem, że wygląda potwornie, jakby ktoś wypompował z niego życie, a później dotarło do mnie, że prawdopodobnie wyglądam tak samo. Stox siedział na fotelu nieopodal i gadał do siebie.

– Czemu nic ci kurwa nie jest, a my przypominamy pierdolone zwłoki? – zapytałem z furią w głosie, zapominając o jakiegokolwiek wdzięczności.

– Wyjąłeś mi to z ust – powiedział Eks, podparł się na łokciach, najwyraźniej próbując wstać, po czym wyrzygał z siebie chyba litr niebieskiej, błyszczącej substancji. Stox uśmiechnął się szeroko, co jeszcze bardziej nas rozstroiło.

– Czysty umysł, nie święty umysł. Czysty umysł jest słaby, zamknięty. Mózg swój trzeba zanieczyścić magicznymi danymi, a wtedy jego moc będzie...

– ...nieokiełznana – dokończyłem i wychyliłem się za kanapę, żeby podobnie jak Eks kilka sekund wcześniej, oczyścić syntetyczne bebechy z obrzydliwej paranoi. – Chyba cię dzisiaj zabiję.

Taki stała w drzwiach i obserwowała nas bez słowa. Wolala słuchać i analizować niż mówić, zresztą była w tym świetna i pewnie właśnie to stanowiło jeden z motorów jej zawodowego sukcesu.

– Możecie pozabijać się później, teraz musimy wziąć się do roboty. Wyciągnęłam informację od kogo trzeba i wiem, co zaszło. Przyczyna awarii nie jest znana, ale znane są jej konsekwencje. Jeśli nie załatwimy sprawy teraz, umysł waszego przyjaciela zamieni się w papkę.

Przykazanie V: Nie ćpaj eksperymentalnych danych

– Dobra, wytłumacz mi to jakoś w naszym języku – powiedziałem, obracając w rękach wyprodukowany przez Stoxa nośnik neuronowy. – Bo póki co, mam ochotę stąd szybko spierdalać. Przecież taka mieszanka przepali mi mózg.

– Dobry staf, otworzy oczy, wewnętrzne blokady już nieważne, klucz do każdej kłódki, o zimnym elektronicznym smaku. Jak opanujesz i się zsynchronizujesz z tamtymi tam, oni się nie przedostaną, potraktują jak swojego.

– On mówi, że musisz sobie wgrać te dane, żeby rozszalałe, porozrywane umysły więźniów nie wdarły ci się do mózgu. Musisz zrozumieć Geertz, że wewnątrz jest kompletne wariactwo. Wydostali się poza blokady, krążą po ich sieci, omijając wszystkie zabezpieczenia, mieszają się ze sobą, kopiują, zanieczyszczają. Tylko najtwardsi wytrzymują, ale i tak zapewne nie wyjdą z tego bez szwanku. Pozostaną w nich blizny, których nie uda się już usunąć. Jeśli wpakujesz się tam w pełni świadomy, będziesz na zupełnie innym poziomie niż oni. Od razu cię wyczują i spróbują się przedostać, a twój mózg wypełni się psychopatami.

Trudno było to sobie wyobrazić. Chyba nikt na świecie nie wierzył, że jest jakieś gorsze miejsce niż Pudło. Wirtualne więzienie, w którym zamyka się umysł, całkowicie izolując go od ciała, w którym nie ma czasu, nie ma przestrzeni, nie ma światła i dźwięku, i w którym blokowane są nawet próby wyobrażania sobie tego wszystkiego. Chyba najgorszy koszmar, jaki można zaserwować człowiekowi. A teraz uwięzione, pokiereszowane dusze, jeśli można je tak nazwać, krążyły po otwartej części sieci tego przybytku, nie wiedząc, jak uciec, i tworząc z siebie straszną mieszankę wypaczenia i psychozy. A ja musiałem nie tylko się tam przedostać, ale też znaleźć Szczura i pomóc mu wyjść. Nie muszę chyba dodawać, że mnie to nie zachwycało.

– Jeden jeden i trzy zera są potrawą bohatera. Żeby rozumu nie stracić, trzeba czasem kontrolę wygasić. Tylko świr świra zrozumie, tylko świr świra pojmuje. – Możliwie, że Stox wygłaszał inne brednie, ale po prostu przestałem go słuchać i docierały do mnie tylko strzępki wypowiedzianych przez niego słów. Prawdopodobnie ich grafomańsko rymowane brzmienie jest jedynie wytworem moich skorodowanych wspomnień.

– Ulokuję się poziom nad tobą, pamiętaj. Zabezpieczę cię. Będę jak lina asekuracyjna. Pociągnij, a od razu cię wyciągnę. – Eks próbował nadać swojemu głosowi uspokajający ton, ale jakoś trudno było wtedy o spokój. Ciało zawsze mogłem wymienić na nowe, ale pogruchotanych danych umysłu nikt nie potrafiłby już odratować. Zdaje się, że wtedy pierwszy raz w życiu naprawdę się bałem.

Przykazanie VI: Nie bój się śmierci

Odtworzenie następnych kilku godzin, jeśli akcja trwała tyle czasu, będzie niesłychanie trudne. Nielatwo opisywać coś, co mózg nieustannie próbuje wykasować z pamięci. Gdybym mógł po prostu wcisnąć przycisk reset i pozbyć się wszystkiego, z chęcią bym to zrobił.

Samo zaaplikowanie sobie mieszanki danych od Stoxa nie było tak przykrym doświadczeniem, jak się spodziewałem. Początkowo nie odczułem żadnej różnicy, jakbym niczego w sobie nie załadował, ale po chwili zaczęły pojawiać się pierwsze oznaki świadczące o tym, że jego mikstura jednak działa. Przestałem rozumieć swoje ciało, stało się obce, niepotrzebne, jakby więziło moje jestestwo, nie pozwalało dostrzec czegoś, co było poza nim. Usilnie pragnąłem się od niego uwolnić. Eks powtarzał coś o linie i że nie jestem sam, a Taki kazała mi się nie bać i przekroczyć granicę szaleństwa, jednak ich słowa już do mnie nie docierały. Nie dbałem o to, co mówili. Płynąłem z prądem. Podążałem drogą, którą powoli, stopniowo, otwierał dla mnie Stox. Z bólem muszę przyznać, że nikt nie jest tak dobry w tej robocie, jak on. Obierał najlepsze korytarze, kierował najwygodniejszymi drogami, bym łatwo omijał zabezpieczenia sieci i zostawiał po sobie jak najmniejszy ślad. Pewnie byłbym pod dużym wrażeniem, gdyby nie fakt, że z każdą chwilą zmieniałem się w coś, co nie potrzebowało już żadnych emocji. Bez wątpienia nie czułem się wtedy człowiekiem, a raczej wolnym, nieokiełznanym strumieniem danych, mogącym przemierzyć każdy zakamarek wirtualnego świata. Niestety poczucie absolutnej nirwany nie trwało długo.

Sygnarów, które odbierałem, nie można nazwać dźwiękami ani obrazami, ale niemal słyszałem ich krzyki i czułem ich ból. Ogarniała mnie rozpacz i niewyobrażalny lęk. Byle tylko się stąd wydostać, byle już nigdy tutaj nie wrócić. Wolność, potrzebowałem wolności. Byłem istotą bez płuc, przebywałem w świecie, w którym nie ma tlenu, ale nie mogłem oddychać, ciało, którego nie posiadałem, zdawało się umierać. Musiałem się jakoś ratować.

Kolejne wydarzenia nie są już częścią mojej świadomości. To nieuporządkowane, niemożliwe do pełnego odszyfrowania dane, które po transkrypcji mają raczej niewiele sensu. Stox odzyskiwał je dla mnie miesiącami, ale nawet przy jego zdolnościach wyłuskanie z nich jakiegoś możliwego do ogarnięcia rozumem obrazu graniczyło z cudem. Musiałem pogodzić się z faktem, że moja podświadomość pozostanie zawirusowana, skażona fragmentami świadomości innych osób i że nigdy w pełni nie zrekonstruuje przebiegu wypadków.

Żadne z obserwującej moje poczynania trójki nie potrafiło opisać, co dokładnie działo się, kiedy straciłmy ze sobą kontakt. Z chaosu wyciągniętego z mojego mózgu wynikało, że przez jakiś czas niemal całkowicie oderwałem się od swojego człowieczeństwa. Pływałem w sieci jak w basenie wypełnionym paranoją. Nie sądzę, że czułem wtedy strach, raczej nie doświadczałem żadnych emocji, a już na pewno nie takich, które mógłbym opisać przy użyciu znanych nam słów. Stox miał rację, że wyłącznie całkowite pomieszanie zmysłów mogło uratować mnie przed, cóż, całkowitym pomieszaniem zmysłów. Żeby utrzymać się na powierzchni, trzeba było najpierw zanurkować głęboko pod nią, dotrzeć do granicy obłądu, przekroczyć ją i płynąć dalej – coraz głębiej i głębiej, aż osiągnie się stan tak bardzo daleki od zrozumienia i ludzkiego pojmowania, jak to tylko możliwe.

W szaleństwie była wolność – dla mnie w sensie metaforycznym, bo przekroczyłem granicę własnego poznania, dla Szczura dosłownie, bo uwolnił się dzięki niemu z więzienia. Wiedział, gdzie się ukryć, wiedział, że najbezpieczniejszym miejscem dla szczurów jest piwnica i tam właśnie czekał. Na samym dnie. Twierdził, że rozpoznał mnie od razu, był mistrzem w identyfikowaniu personalnych danych, uczeplił się mojego przesyłu, a wtedy ja pociągnąłem za trzymaną przez Eksa asekuracyjną linę. Podobno. Osobiście pamiętam, że po powrocie na powierzchnię popadłem w amok, nie potrafiłem znieść ciasnoty ciała i jego ograniczeń. Szczur wkurwił się potężnie, kiedy przebudził się w bazarowej, żeńskiej, plastikowej tandecie. Nie uwierzył

Taki i Stoxowi, że nic innego nie dało się załatwić bez wzbudzania podejrzeń. I oczywiście miał rację – to było celowe. Woleli wkurwionego Szczura niż rozkojarzonego. Taki wierzyła, że wtedy szybciej dojdzie do siebie, ale nie miała racji. On nie musiał dochodzić do siebie. Po tej historii jego zdolności adaptacyjne przeszły do legendy.

Przykazanie VII: Bezwzględnie przestrzegaj wszystkich przykazań!

Oczekiwanie na wieści od Szczura doprowadzało mnie do szału. On sam szczególnie się nie spieszył, wciąż obrażony, że załatwiliśmy mu stokowe ciało najgorszej jakości. Obiecaliśmy mu, że dostanie lepsze, jak skończy robotę, ale on jak zawsze musiał pokazać, kto ma władzę.

Powtarzałem sobie, że na nośniku musi coś być, coś naprawdę wartościowego, nie ryzykowałbym przecież wszystkiego dla jakiegoś starego śmiecia. Tym boleśniejszy był mój zawód, kiedy Szczur poinformował nas, że zrobiono z nas głupców. Na nośniku umieszczono zaledwie jedną, zakodowaną informację. Krótkie zdanie, którego sens zrozumieliśmy dopiero po jakimś czasie. Zdanie brzmiało: „Nie dla treści warto było działać”.

Nośnik nie był celem samym w sobie, a zaledwie początkiem drogi do innego, większego celu. Miał nas ze sobą łączyć, zmusić do współpracy, byśmy uwolnili Szczura i poczuli głód, którego nie da się łatwo zaspokoić. Nie chcieliśmy już zdobywać ziemskich szczytów, od tamtej pory pragnęliśmy sięgnąć gwiazd.

P.S. Jest jeszcze jedno przykazanie, o którym nie wspomniałem, a które jest najważniejsze dla ludzi z mojej branży. Mianowicie: Nie przestrzegaj żadnego z nich!

Marlena Mitka

SZAROŚĆ

*Samotni; nie, aby uciec,
Lecz by odnaleźć rzeczywistość*
Paul Shepard

Zakochała się w jego pełnych marzeń oczach, które teraz patrzyły na nią z wyrzutem. Posłała mu niewyraźny uśmiech, wkładając ciepły płaszcz na ciemnoszary dres. Nie umalowała się, bo nie musiała. W jego milczeniu wyczuła pytania i oskarżenia. Wiedziała, że nie potrafił zrozumieć, co się między nimi zmieniło. Patrzył na nią – na kobietę swojego życia. Na kobietę z gorzkim uśmiechem, opuchniętymi i podkrążonymi oczami, otoczonymi drobnymi zmarszczkami. Z wydatnymi kośćmi jarzmowymi, nitkami siwizny w gęstych, ciemnych włosach. Wiedziała, że nadal – pomimo długich, wspólnych lat – wzbudzała w nim pożądanie, choć przez ostatnie miesiące roztyła się, ścięła włosy i musiała zakładać okulary do czytania, gdy on z wiekiem wyprzystojniał. Zmężniał, nabrał werwy, zapuścił brodę, a jego oczy lśniły pociągającą inteligencją.

Nie odezwał się, kiedy wyszła. Było późne popołudnie, a dzień – szaroniebieski i deszczowy. Obejrzała się za siebie, zatrzymała wzrok na masywnych drzwiach prowadzących do domu na wzgórzu i westchnęła, głęboko, z ulgą. To była jej ziemia. Jedyny dom, jaki kiedykolwiek miała, choć przez wiele lat mieszkała z dala od tego miejsca, w różnych częściach świata. Przez niego i dla niego. Gdyby to od niej zależało wiodłaby inne życie, całkowicie inne. Na nic jej odległe podróże, długie wyjazdy, studia, dyplomy i przed czasem porzucony doktorat. Wydawało jej się, że te ostatnie dziesięć lat spędziła na wypełnianiu absurdalnych i uciążliwych obowiązków – była tłumaczką, dorabiającą na nauczaniu innych, odnosiła sukcesy, zdobywała nagrody, kolekcjonowała certyfikaty. Wyszła za mąż, stworzyła dom, posadziła wiele drzew, ale nie umiała... Ułożyła sobie życie. A i tak wróciła na wieś. A on – jej mąż, który czuł się wolny tylko w wielkich miastach, najlepiej z dala od Polski – podążył za nią.

Przed nią roztaczały się pola, sady i cała wiejska zabudowa. Wiał porywisty, zimny wiatr, który chłostał jej policzki i szarpał poły niezapiętej kurtki. Pojedyncze drzewa, rosnące przy drodze, uginały się od jego podmuchów. Ulice całkowicie opustoszały. Ona szła, trochę przygarbiona – zaglądając, podpatrując, nasłuchując. Czasem widziała więcej, niżby chciała. Mijała domy, które знаła od dziecka i te, które wybudowano w ostatnich latach. W każdym miejscu słyszała szept niewypowiedzianych historii. Melodie wspomnienia, nuty łez. Widziała obrazy z przeszłości: wielu ludzi, wiele śmierci i narodzin. Wszystko do niej przemawiało, odkrywając to, co przed innymi było niewidoczne.

Przeszła obok opuszczonego domu, który niszczał z każdym dniem. Wybudowany na planie kwadratu, z niewielkim ogródkiem od strony ulicy. Musiał kiedyś być piękny. Pierwszy murowany dom na wsi z przeszklonym gankiem. Teraz kruszył się, rozpadał. Szyby w oknach popękały od mrozu, drewno zbutwiało, schody się zapadły, farba odpłynęła, dachówki odpadły. To miejsce stało się ostoją dla dzikich kotów. Należał do słynnego, na tych ziemiach, powojennego pisarza, którego nazwisko przepadło w odmętach historii. Od dziecka był urodzonym opowiadaczem – najpierw po rosyjsku, potem po polsku. Młodo się ożenił, bo twierdził, że bez żon nie ma artystów. Tworzenie przez długi czas przysłoniło mu prozę życia. Mógł pisać – przyziemne sprawy nie zaprzętały mu głowy. Mógł być udręczoną duszą zmagającą się z egzystencjalnymi rozterkami, bo nie musiał nikogo przekonywać, że pisanie jest jego pracą. Nikt mu nie radził by poszukał prawdziwego zajęcia. Swojej żonie zostawił opiekę nad domem, dziećmi i gospodarstwem. Jego jedynym zajęciem było płodzenie. Z taką samą gorliwością płodził powieści i dzieci. Ale to mu nie wystarczało. Pragnął chwały, sławy, pamięci pokoleń. Chciał to znaleźć za oceanem. Umarł gdzieś na Florydzie, na budowie.

Minęła mętny, zarośnięty trawą staw. Szła drogą wiodącą do lasu. Chodziła szybkim krokiem, jakby chciała przegonić smutek, ale smutek zawsze okazywał się szybszy, bez trudu ją doganiał. Policzki miała zaczerwienione, oddech ciężki. Zmarznięte dłonie trzymała w kieszeniach płaszcza. Szła przez kałuże i błoto, deptała zbrazowiałe, zmokłe liście, które odkrył topniejący śnieg. A ziemia bezustannie do niej przemawiała.

Kruchy, zbiegający szkielet drzewa dogorywał nieopodal drogi. Na tym drzewie, kiedy jeszcze rodziło dorodne kasztany, powiesiła się jej daleka ciotka, stara pijaczka, której opieka odebrała trójkę dzieci. Zapamiętała ją tylko przez jedno zdarzenie. Pewnego razu, kiedy jeszcze malowała na powiekach grube, kocie kreśki, kręciła włosy i nosiła kwieciste sukienki, zatrzymała ją przedwcześnie zestarzała kobieta z brzydką cerą i szklistymi oczami. Była przeraźliwie chuda. Pod cienką skórą rysowały się zwiotczone mięśnie. Śmierdziała moczem, alkoholem i potem. Nie podeszła zbyt blisko, ale wybełkotała:

– Nie dziwię ci się. Też nigdy nie chciałam mieć dzieci.

Po tych słowach odeszła chwiejnym krokiem, a kilka miesięcy później, gdy jej zwiotczałym ciałem zakochał wiatr, miejscowi mężczyźni pokłócili się o to, który z nich zabierze wisielczą linię. Jedna historia rodzi inne.

Podczas samotnej podróży szarość nieba stawała się intensywniejsza i bardziej tajemnicza, a rozległe polacie ziemi bardziej urodzive i nieskończenie groźniejsze. Zatrzymała się przy niszczącej kapliczce. Maryja bez twarzy trzymała rozpromienionego synka na rękach. Jezuskowi odpadła dłoń. Matka, która utraciła dziecko. Dziecko, które odeszło przed matką. Poniżej rzeźby wygrawerowano nazwisko, którego nie dało się już odczytać. Ród fundatorów wygasł na mężczyźnie – ojcu czterech córek, które rozpieczęły się w cztery strony świata, szukając lepszego życia. I nawet nie wróciły na pogrzeb ojca, który zmarł na raka.

Szła dalej. Minęła nadpalone fundamenty, które były pozostałością jakiegoś domu, teraz zarośnięte przez drzewa i krzewy. Stała przed ścieżką prowadzącą do lasu. We wsi mówili, że wszystko, co złe, dzieje się tu przez las. Mówili również, że las zabiera tajemnice. A ona jedynie tam mogła znaleźć chwilę wytchnienia. Las zawsze obezwładniał ją zapachem. W nim czuła, że wszystko pachnie inaczej: mocniej, wyraźniej. Wilgotna ziemia, opadłe liście, puszysty mech, delikatna mgła, niesamowity półmrok. W koleinach stała woda po deszczach i roztopach.

Pomyślała o mężu, który zajmował najgłębszy zakątek jej serca, a którego obecności nie umiała znieść. Od czasu, w którym się poznali, niewiele się zmienił. Nadal był człowiekiem odznaczającym się większą pewnością siebie od innych ludzi, których знаła. Nadal pragnął wrażeń, niekończących się podróży, nowych przyjaciół zawieranych w każdym miejscu, do którego zawędrował. Miał w sobie tyle uroku, że wszyscy czuli się przy nim wyjątkowo. Kiedyś i ona tak się przy nim czuła. Choć nigdy jej nie rozumiał, wystarczyło tylko, że wtuliła twarz w jego piękne, szerokie i umięśnione plecy, by poczuć choć przez moment odrobinę bezpieczeństwa.

Zaczęła zastanawiać się, od kiedy mąż nie potrafił rozwiązać jej smutku. Czy zaczęło się to od tamtego wieczoru, w którym zastał ją płaczącą nad naczyniami, które zmywała? Czy od dnia, w którym po powrocie, zobaczył ją siedzącą w ciemności, patrząc nieobecny wzrokiem przez okno, na plac zabaw pozbawiony bawiących się dzieci? Czy od tego poranka, w którym wypręła zakrwawioną pościel? Czy od tamtej nocy, gdy obudził się po drugiej stronie łóżka, szukając ciepła, którego tam nie było? Czy od tamtego dnia, gdy pojawił się Mężczyzna spod balkonu?

Poczuła pod powiekami napływające łzy. Tamten Mężczyzna zmienił w niej tak wiele.

Minęła parę idącą z młodym labradorem. Dojrzały mężczyzna ledwie mieścił się w skórzanym płaszczu – zobaczyła jego wyraziste rysy i zrozumiała, że należał do tej ziemi, tak samo jak ona. On też ją rozpoznał. Z trudem utrzymał psa, narwanego i radosnego. Szczeniak wciskał nos pomiędzy leżące na ziemi gałęzie, obwąchiwał liście, ciągnął do zarośniętego brzegu kanału. Kobieta była niska i pulchna, i tak bezbarwna, że zwrócenie na nią uwagi wymagało ogromnej spostrzegawczości. Nie była stąd.

– Myślisz, że są tu jeszcze jakieś ryby? – zapytała.

– W tym bajorze?

Skręciła w inną ścieżkę, oddalając się od spacerujących. Wierzchołki drzew poruszały się na wietrze. Przeszła przez mostek, nie patrząc na kanał, w którym w zakwicie wody leżały opony. Skuliła ramiona i szła dalej, wzrokiem śledząc foliową reklamówkę, która jak liście tańczyła na wietrze. Pomyślała, że droga na północ zaprowadzi ją na drugi skraj lasu. Ale potem, gdy stanęła na rozstaju dróg, ruszyła na wschód.

Znalazła się na ścieżce, którą jako dziecko przemierzała każdego letniego dnia. Dotarła do miejsca, w którym kiedyś było jezioro, a teraz pozostała po nim tylko niewielka kałuża. Usiadła na przewróconym pniu i przyjrzała się widokowi, który nie przypominał tego, który zapamiętała. Niewielka polanka zarosła trawą, tak jak mulisty brzeg stawu. Rozebrano drewniany pomost, a przez szczeliny pomiędzy drzewami widać było kolejowe tory. Przestały rosnąć trzciny, pałki i wisy. Wokół panowała prawie idealna cisza.

Pomyślała o Mężczyźnie i o tym dniu, kiedy po raz pierwszy go zobaczyła. Jeśli coś pobudzało jej wyobraźnię, poświęcała się temu z pasją, graniczącą z obsesją. Dlatego tak namiętnie i bezustannie wracała do niego w myślach.

Zrzuciła z siebie ubrania przesiąknięte zapachem, obecnością i słowami obcych ludzi, których mijala w pracy i sklepach. A potem, przed lustrem, rozebrała się i zbadała czułym dotykiem pusty brzuch. Stanęła przed uchylonymi drzwiami balkonu. Zapaliła papierosa i wyjrzała na zewnątrz, na miasto, które pograżało się w wieczornej ciszy. Z klubu sportowego wyszedł Mężczyzna. Przykuł jej uwagę, bo wzbudził w niej niepokój, strach i wstyd. Mężczyzna trzymał w dłoni czarną, sportową torbę. Ubrany był w cienki dres, nieodpowiedni do takiej pogody.

Zaciągnęła się głęboko dymem, nie przestając go obserwować. A on nagle podniósł głowę. Chciała się cofnąć, ukryć za firanką, ale było już za późno. Widział jej nagie ciało. Ciemne łono, krągłe uda, miękki brzuch i drobne piersi. A potem – spojrzał jej w oczy.

Czuła, jak krew uderza jej do twarzy, jak robi się jej gorąco.

Przestała oddychać.

Patrzył wprost w jej oczy, a nawet nie w oczy, ale wprost w jej duszę. Zadrżała. Nigdy nikt tak na nią nie patrzył. Widział prawdziwą ją, bez strachu i udawania.

I na jedną krótką chwilę zatopiona w jego spojrzeniu – zapomniała. Zapomniała o tamtej nocy, kiedy krzyczała w poduszkę. O rozdzierającym bólu i bezwładnym, nieposłusznym ciele. O dłoniach przyciskających jej nadgarstki do materaca. O tym, jak po wszystkim, w ciemnościach mieszkania, zanosila się płaczem.

O spływających krwią udach, o zakrwawionej pościeli i strzępach ubrań, o obnażonym ciele i dziwacznie płaskim brzuchu.

Zapomniała o wszystkim.

Odrzuciła się i zaczęła bezgłośnie lkać. Tłumiła w sobie krzyk, nawet przed sobą wstydziła się tego, co czuła. Wiedziała, że odtąd wszystko, co się stanie będzie, nijakie i obmierzłe, a głód, który się w niej obudził – będzie jeszcze potężniejszy niż kiedykolwiek.

– Zasnął.

Woda zrobiła się nieprzyjemnie zimna. W łazience zapalone były tylko dwa kinkiety, wiszące nad lustrem. Przynajmniej nie musiała wciągać brzucha, bo przy takim świetle niewiele było widać.

– Kiedyś w końcu utoniesz.

– To nie takie łatwe.

Rozmasowała zeszytniałą szyję i ochlapała twarz wodą. Wyszła z wanny. Nie zdążyła okryć się ręcznikiem, gdy podszedł do niej od tyłu. Otulił silnym ramieniem, a drugą ręką przytrzymał ją za biodro. Pocałował ją delikatnie w szyję.

– Jesteś piękna.

Nie była piękna, i to już od kilku lat.

– Puść.

Następnego ranka, tuż po przebudzeniu, patrzyła w sufit. Nie miała ochoty wstawać i wykonywać tych samych, monottonnych czynności, aż do czasu, gdy znowu będzie pora na sen. Chciała tylko leżeć, nie zwracać uwagi na upływający czas. Musiała odnaleźć w sobie pokłady niesamowitej siły, by nie poddać się temu uczuciu. Przewrócił się na bok i objął ją ramieniem. Czuła ciepło jego miękkiego, ciepłego ciała.

Wygrzebała się z nieświeżej pościeli, ale nie wstała z łóżka. Na nocnym stoliku oprócz zolpidemu leżała gruba warstwa kurzu i butelka z niedopitym, tanim winem.

– Chcę wrócić do domu.

Popatrzył na nią. Tyle chciała mu powiedzieć, ale wiedziała, że gdy słowa wypłyną z jej ust – nie będzie już odwrotu. Wszystko się zakończy: w bólu i niezrozumieniu. Przestałby istnieć ten świat, do którego przywykła. Więc powiedziała tylko:

– Nie jest mi łatwo.

– A komu jest?

– Chcę wrócić do domu – powtórzyła z naciskiem. – Chcę tam napisać książkę. Te historie... one mówią do mnie. Chcą być opowiedziane...

– Boże, kochanie, już o tym rozmawialiśmy. To jak z twoją dietą. Zaczynasz i nie kończysz. Która to książka w tym roku? Piąta? Ani jednej nie dokończyłaś. A poza tym, masz za mało zajęć? Ciągłe narzekasz, że jesteś zmęczona, że nie masz na nic siły.

Już dawno zrozumiała, choć jeszcze się z tym nie pogodziła, że nikt nie przejmował się jej pracą.

– Zrozum, ja nie mogę już tak dłużej żyć. Nie jestem tu szczęśliwa.

- Nigdzie nie jesteś. W żadnym miejscu. Tam też nie będziesz.
- Nie wiem, co mam tutaj ze sobą zrobić!
- Nie wiem, może śniadanie zrób, posprzątaj, przejdź się...
- Ja muszę... ja muszę stąd wyjechać.

Zamknęła oczy i podniosła głowę. Zachmurzone niebo i nabite, burzowe chmury, nagle ostatnie promienie słońca – tnące, ostre jak brzytwa. Wieczór stawał się surowy i zimny. Przez chwilę czuła spokój i jakąś kruchą namiastkę szczęścia, lecz gdy poczuła ciepłą dłoń na ramieniu, wszystko to minęło.

On zawsze za nią podążał.

Marlena Mitka (1997) – pedagogka, nauczycielka, badaczka i pisarka. Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego. Jest autorką specjalizującą się w krótkich formach prozatorskich. W swojej twórczości stara się opowiadać o kobietach – ich pragnieniach, potrzebach, ograniczeniach i poszukiwaniu sensu życia. Jej teksty skupiają się na relacjach międzyludzkich i społecznych oraz na codziennym życiu zwykłych ludzi. Podejmuje również problematykę, która obejmuje przemoc seksualną i traumę międzypokoleniową. Tematyka jej utworów zazwyczaj koresponduje z życiem wsi, prowincją i ludowością.

Dorota Morzywołek

DROGOWSKAZY. O ŚMIERCI, KTÓRA ZGUBIŁA DROGĘ

Uśmiech Śmierci to jednocześnie najdziwniejszy i najstraszniejszy widok, z jakim może spotkać się każda umierająca istota we wszechświecie. Zmarszczki w kącikach oczodołów, szeroko i nienaturalnie rozciągnięte blade, wąskie wargi. O tak, taki uśmiech przyprawia o dreszcze, ale to dlatego, że Śmierć bywa szczęśliwa. Musicie wiedzieć, że nie zawsze tak było. Pojawia się w momencie, kiedy płuca wypełnia ostatni oddech, a serce wydaje finalny, naturalny dla siebie odgłos: ba-dum, ba-dum. Dopiero kiedy zamilknie, usłyszeć można, jak głośniejsza jest cisza. W to miejsce Śmierć nuci pieśń, chyba serenadę od dawna zapomnianą, bo nikt z umierających nigdy wcześniej jej nie słyszał. Delikatny, nieco zachrypnięty głos kołysze dusze do snu, aby przenieść je na drugą stronę, ku kolejnym namiętnościom. Co dokładnie znajduje się dalej, tego nie wie nikt, ponieważ Śmierć za każdym razem zaciąga zasłonę, aby nie zdradzić tej odwiecznej tajemnicy. Nie pozwala nikomu niczego podejrzeć, nawet przede mną trzyma to w sekrecie, chociaż zaciekawiony, nieraz próbowałem się tego dowiedzieć. Śmierć odnalazła uśmiech i swój kształt. Nie będę ukrywał, że nasze spotkanie miało coś z tym wspólnego. W końcu oszukałem Śmierć, co prawda tylko na krótki czas, ale nam obojgu wyszło to na dobre.

Kształt śmierci

Każda umierająca istota wyobraża sobie Śmierć inaczej. Najczęściej jednak budzi strach, a Śmierć przecież jest całkiem miła. Nie mogłem wyobrażać jej sobie inaczej, niż jako najdostojniejszej, najwspanialszej istoty, która kroczy po ziemi. Przyszła więc do mnie właśnie taka. Miała piękne, lśniące w słońcu czarne futro, białe,

długie wąsy i oczy koloru złotych rybek, które uwielbiałem podkraść z akwarium. Niemniej jednak byłem bardzo zaskoczony pojawieniem się jej tamtego dnia. Wskoczyła zgrabnie przez otwarte okno do pokoju wiernie mi służącego człowieka.

– Niebiosy zesłały mi boginię – rzekłem, gdyż mój urok zawsze działał na moją korzyść.

– Mogę zmienić swój kształt, jeśli ten ci nie odpowiada – odrzekła zaskoczona moją reakcją.

„Śmierć można zaskoczyć”, pomyślałem i natychmiast wywęszyłem okazję do zabawy.

– Ależ odpowiada, jak najbardziej. Jednak zastanawia mnie, czym sobie zasłużyłem, że mogę gościć cię w moich skromnych progach – coraz ciężiej wypowiadałem każde ze słów i domyśliłem się, że to jej obecność tak na mnie wpływa. Kończył mi się oddech, chociaż czas zatrzymał się w miejscu.

– Swoim życiem, jak każdy – odparła, mruczając dźwięcznie, aż przeszły mnie ciarki.

– Życiem? – zapytałem. To zaledwie jedno z moich dziewięciu, jeszcze nie wykazałem się w pełni – powiedziałem ze spokojem, jakby to było coś naturalnego.

Udało mi się zaskoczyć Śmierć po raz drugi tamtego dnia.

– Dziewięciu? – zapytała zdziwiona.

– Nie wiedziałaś?! Musiałaś zgubić drogę, najdroższa! – odparłem ze współczuciem.

Śmierć wyciągnęła z futra, do dziś nie wiem, jak to zrobiła, nienaruszony czasem pergamin, na którym wyraźnie widniałem, nieskreślony jeszcze, jak nieodhaczony produkt na liście zakupów.

– Pan Wąsik, ulica Karmelowa 4, mieszkania 2 – przeczytała i podrapała się po głowie.

– Będziesz musiała poczekać, bo przez najbliższych osiem żyć nic tu po tobie – grałem dalej.

– Dokąd mam pójść w takim razie? To ostanía pozycja na tej liście... – wskazała.

– Wiesz, skoro jesteś kotem, pomogę ci trochę.

Leniwym krokiem podszedłem do tego, co ludzie nazywają globusem i szturchnąłem ociężałe w kolorową kulę, która zaczęła się kręcić wokół własnej osi.

– My, koty, zawsze chadzamy własnymi ścieżkami. Może też powinnaś spróbować. Nie samą pracą żyje Śmierć, myślę się?

– No cóż... – zawahała się. Ujrzałem niepewność w jej pięknych oczach.

– Świat jest ogromny, ale skończony. Kiedy wrócisz, pewnie będę już u kresu mojego dziewiątego życia – odparłem przekonująco.

W ten sposób wymknąłem się Śmierci, przynajmniej na jakiś czas. Ale to nie jest historia o mnie, chociaż odegram w niej jeszcze niemałą rolę.

Śmierć wyskoczyła przez to samo okno, przez które weszła do mieszkania kocura. Wylądowała na lepiącej się pokrywie śmietnika, robiąc przy okazji dużo hałasu. Wytarła łapy o trawę, chociaż uczucie sklejonego futra pozostało. Rozejrzała się dookoła, ale nie miała pojęcia, w którą stronę pójść. Po raz pierwszy w życiu – albo śmierci, bo była bez wątpienia martwa – mogła zdecydować o tym sama. Do tej pory miała jasno określone zadania do wykonania, których nie kwestionowała. Nie musiała zastanawiać się, co robić, ani którą drogę wybrać.

„Nie bój się, jeśli zgubisz drogę. Zazwyczaj wtedy można coś odnaleźć” – słowa Pana Wąsika zabrzmiały w jej głowie, więc otrząsnęła się i ruszyła przed siebie. Kiedy tylko przekroczyła ogrodzenie, wpadła pod nogi dwóch potężnych mężczyzn, którzy uśmiechali się pod nosem. Uśmiechy jednak szybko zamarły na ich twarzach i zamieniły się w grymasy na widok Śmierci.

– Zjeżdżaj stąd! – wykrzyczał jeden z nich, aż ślina trysnęła mu z ust, a jego stopa odziana w ciężki but, wylądowała na brzuchu kota.

– Takie jak ty przynoszą pecha! – splunął drugi i podniósł kota za kark.

Śmierć zmieniła swój kształt, a to, co zobaczył mężczyzna, nie było ani trochę podobne do wyobrażenia Pana Wąsika. Natychmiast puścił Śmierć i zaczął krzyczeć, potknął się o własne nogi i wpadł na jezdnię. Nie był na tyle zwinny, żeby podnieść się na czas, a kierowca autobusu nie zdążył wyhamować. Jego przyjaciel uciekł w mgnieniu oka. Śmierć opadła z powrotem na cztery łapy. Zmartwiła się trochę, ponieważ mężczyzny nie było na liście, ale w końcu teraz to i tak nie miało znaczenia, więc odwróciła się. Odchodząc, zanuciła pieśń, która od dawna grała w jej głowie. Usłyszała ją od pewnej osoby, którą po dziś dzień nosiła w sercu.

Z nieba spadły pojedyncze krople, które znaczyły asfalt. Gdy niebo rozpląkało się na dobre, ulice opustoszały.

Kocie Królestwo

Minęło trochę czasu, zanim Śmierć znalazła schronienie, zdążyła więc zmoknąć do suchego kłaka. Poczuła wtedy coś dziwnego na grzbiecie, a kiedy się odwróciła, ujrzała kocura, który najwidoczniej chciał, aby za nim poszła. Zaprowadził ją wprost na wysypisko śmieci. Zdziwiła się, że miejsce takie jak to jest zamieszkane. Pod niewyobrażalną konstrukcją zbudowaną z zużytych przedmiotów, zobaczyła parę kotów wlepiających swe oczy w intruza, którym rzeczywiście była.

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy! – powiedział jeden z pasiastych dachowców.

– Daj spokój Frankie, przyszła tu ze mną – odrzekł czarny kot, naznaczony już siwizną.

– Przyjmowanie członków do naszego królestwa powinno być omawiane wspólnie, nie uważasz? – odrzekła bialo-ruda kotka.

– Wzgardzono nią, tak jak nami – odparł stary kocur, na co reszta nie odpowiedziała. Widział jedynie, jak mężczyzna łapie Śmierć za kark, a potrącenie nieznajomego uznał za nieszczęśliwy wypadek.

– Jak masz na imię? – zapytała kotka.

Śmierć przedstawiła się.

– Martwa to ty nie jesteś... jeszcze – powiedział dachowiec. – Za to śmierdzisz gorzej od nas. Będę nazywać cię Śmierciuszkiem – zaśmiał się niczym hiena, jakby opowiedział najlepszy dowcip, i odszedł.

– Witaj w Kocim Królestwie – zamruczała kotka.

Wysypisko było zbieraniną śmieci, ludzkich śmieci, ale koty potrafiły wykorzystać to, czego ludzie się pozbywali. Kocie Królestwo było wysypiskiem bogactwa. Sterta, albo raczej hałda nieprzydatnych już przedmiotów, stanowiła dom, w którym kocie przybłędy zbudowały azyl. Były doniczki, plastikowe owoce na stół, wyszczerbione naczynia, książki z wyblakłym już drukiem, szafki z oderwanymi drzwiczkami, poplamione materace, zużyte opony, niemodne już części garderoby, zabawki, które się zestarzały, przeterminowane, ale zdatne jeszcze jedzenie, a to dopiero wierzchołek góry śmieciowej.

– Jemy to, co uda nam się zdobyć. Jestem Harmonia. Czarny kocur, który cię tu przyprowadził to Murzyn. On tutaj dowodzi. Frankiem się nie przejmuj, jest wredny dla każdego, on już tak ma. Sami zbudowaliśmy to miejsce, z początku było nas tu więcej – mówiła dalej – ale sama rozumiesz. Ulice nie są bezpieczne. Jaka jest twoja historia? – zapytała.

Śmierć przez chwilę zastanowiła się.

– Zgubiłam drogę – odpowiedziała szczerze.

– Znam to miasto jak własną kieszeń. Powiedz tylko, dokąd zmierzałaś, a wskażę ci drogę – odpowiedziała kotka.

„Dokąd?”, pomyślała Śmierć. Wcześniej miała cel, przychodziła po tych, którzy zegnali się z tym światem i ruszali do kolejnego. Wszystko działało, jak powinno, aż do tej pory.

- Tego nie wiem. Szukam czegoś – odrzekła Śmierć po chwili namysłu.
- Co to takiego? – zaciekała się Harmonia.
- Tego też jeszcze nie wiem, ale mam czas. Osiem żyć, tyle dokładnie – dodała.
- Jak każde z nas – zaśmiała się kotka.

Śmierć dostała miejsce do spania i zaproszenie do wspólnych posiłków, gdzie koty dzieliły się tym, co znalazły bądź upolowały. Tak działało Kocie Królestwo. Dni miały wesoło, Frankie opowiadał dowcipy, które były tak kiepskie, że Harmonia i Śmierć pękały ze śmiechu, Murzyn ze swoją powagą i groźnym głosem pilnował porządku, żeby reszta nazbyt nie rozrabiała. Każdy wnosił od siebie to, co było potrzebne. Przez chwilę Śmierć poczuła, jakby miała namiastkę domu.

Któregoś dnia, kiedy każdy zajmował się swoimi obowiązkami, koty usłyszały huk. Później wszystko zadziało się bardzo szybko. Na wysypisko wkroczyli mężczyźni. Nie wyglądali ani trochę przyjaźnie. Kiedy Śmierć dobiegła na miejsce, zobaczyła Murzyna, który leżał na ziemi i się nie ruszał.

– Szybko! – krzyczała Harmonia i razem z Frankiem próbowali ratować przyjaciela, ale Śmierć usłyszała ostatnie ba-dum, ba-dum, które wydało jego serce. Murzyn już wiedział, kim ona jest i nie wydawał się zły. Śmierć chciała zanucić mu serenadę, przy której spokojnie mógł odejść, ale nie było na to czasu.

– To on! To ten potwór, przez którego zginął Marvin! – krzyknął jeden z intruzów. – Wiedziałem, że cię znajdę! – każde słowo wypływał ze złością.

Wycelował w Śmierć i pociągnął za spust, całe szczęście nie trafiając. Koty rozbiegły się w popłochu. Mężczyźni długo szukali Śmierci, krzyczeli przy tym okropnie i niszczyli wszystko, co mieli w zasięgu dłoni. Kiedy w końcu odeszli znudzeni, mieszkańcy Kociego Królestwa zebrali się nad martwym ciałem Murzyna.

– Z twojego powodu tu przyszli – powiedział Frankie. – Przez ciebie Murzyn nie żyje. Naprawdę przynosisz pecha.

- Odejdź i nigdy więcej nie wracaj – dodała Harmonia.

Złototuska

Deszczowy poranek przyniósł ciepłe, słoneczne południe. Na przedmieściach dzieci uwielbiały bawić się na ulicach, zwłaszcza w takie dni jak ten. Śmierć nie wiedziała, co ze sobą począć, więc po prostu szła przed siebie. Wtedy zobaczyła dziewczynkę, która w żółtych kaloszach skakała po kałużach. Śmierć pochyliła się nad jedną z nich i ujrzała w wodzie odbicie swoich złotych oczu. Natychmiast wpadła na pomysł, aby ponownie zmienić swój kształt. Żółty wydał jej się bardzo wesołym kolorem, ale to złoto bardziej ją pociągało. Wylądowała w mętnej wodzie, a dziewczynka, która skakała od jednej do drugiej kałuży, niemal zdeptała Śmierć na śmierć. Wtedy zauważyła małą złotą rybkę. Szybko wzięła ją na ręce i zaniósła do domu.

– Całe szczęście, że cię znalazłam, inaczej upiekłabyś się na słońcu jak filet! – powiedziała i wrzuciła Śmierć do ogromnego akwarium, które stało na kuchennym blacie.

Mieszkanie tutaj nie przypominało tego na wysypisku. Wszystko wręcz wydawało się tętnić życiem. Woda była przezroczysta i przyjemna. Na dnie leżał złoty piasek, a na nim spoczywały kolorowe kamienie, które przypominały przyglądające się wszystkiemu oczy. Rośliny z rytmem wody tańczyły w najlepsze, a pomiędzy nich wylaniał się ogromny zamek. Śmierć podpłynęła powoli, a ryby, które mijala po drodze, spoglądały na nią podejrzliwie.

Kiedy wpłynęła do środka zamku, nie ujrzała tam nic, tylko ciemność. Słyszała głosy z zewnątrz, wszystkie naraz, które echem odbijały się od ścian. Przez niewielkie okna dostrzegła cienie, które niczym macki opłatały pałac.

– Szukam czegoś – powiedziała Śmierć.
– Szukam czegoś – usłyszała w odpowiedzi.
– Nie wiem jeszcze co to takiego, ani gdzie mogę to znaleźć, ale może wskażesz...
– ...mi drogę. W naszym świecie nie ma nic za darmo – odezwały się głosy.
– Nie mam nic, co mogłabym dać – odpowiedziała Śmierć.
Wtedy przypomniała sobie, że ma coś, co uważała za cenne.
– Mogę zaśpiewać, znam jeden utwór – powiedziała i zaczęła nucić, a każdy dźwięk powracał do niej ze zdwojoną siłą.

Przypomniała sobie, czego doświadczała, kiedy po raz pierwszy usłyszała serenadę i w żyłach poczuła żar. Pieśń była teraz każdą kroplą wody. Lecz nie otrzymała obiecanej pomocy, bo gdy tylko skończyła nucić, wszystko zniknęło. Nie było złotego piasku i wygrzewających się na nim kamieni, ani nawet tańczących roślin.

Śmierć wylądowała w niewielkiej szklanej kuli. Poczula się uwięziona sama ze sobą. Nie wiedziała, kim jest, czy nadal jest Śmiercią, a może to wszystko było snem kruchej, złotej rybki, która nie potrafi wcale spełniać życzeń ani cudzych, ani swoich. W szklanym kloszu nie było nic, nawet poczucie bezpieczeństwa zniknęło wraz z powietrzem i nagle znalazła się w roli swoich ofiar. Jeśli wcale nie jest Śmiercią, to kiedy skończy się tlen, serce w jej małej piersi zabije po raz ostatni. Widziała to nieskończenie wiele razy, czuła, jak to jest. Czuła wszystkie lęki, niepewności, niespełnione marzenia, ale nie należała do świata żywych. Nie należała również do świata martwych, bo nie mogła zostać tam, dokąd udawali się zmarli.

– Mógłbym cię teraz spokojnie schrupać, chociaż obawiam się, że nie wyszłoby mi to na dobre – usłyszała znajomy głos Pana Wąsika. Wielki łeb kota pochylał się teraz nad akwariem.

Zanurzył łapkę w szklanej kuli i zmącił wodę.

– Pokażę ci coś, jeśli pozwolisz – powiedział, na co Śmierć zgodziła się chętnie.

Zrzuciła jedną złotą łuskę, następnie kolejną, a w ich miejscu pojawiała się światło, jakby cała składała się ze światła, tak jasnego, że kocur musiał zmrużyć oczy, żeby nie oślepnąć. Tym razem to Śmierć zaskoczyła jego. Nie przestraszył się jej nowego kształtu, to było coś innego niż strach. Poczul nieprzyjemne mrowienie w ciele, ale nic nie powiedział.

Śmierć powolnym krokiem włączyła się za kotem, zostawiając za sobą mokre ślady, a kiedy mijali rzekę, spojrzęła na swoje odbicie, które przedstawiało najstarszą jej wersję. Odeszła, nie chciała na to patrzeć. Posuwała się naprzód przez ciemny las, bezkształtna taka, aż dotarła do miejsca, gdzie drogi się rozdzielały. Pośrodku stał drogowskaz.

Pan Wąsik, zamiast wybrać jedną z dróg, wspiął się na drzewo, więc Śmierć również to zrobiła. Kiedy znaleźli się już prawie na samym szczycie, kot usiadł i zrobił miejsce dla swojej towarzyszki.

– Spójrz – powiedział zachwycony. Czarne jak atrament bezkresne niebo rozciągało się nad nimi, usiane jasnymi gwiazdami.

Fale

Gdyby mogła śnić, zapewne tej nocy śniłaby, że jest jedną z gwiazd. Może była przez krótką chwilę. Poruszała się po srebrnej rzece niebios, aż znalazła się na krawędzi drogi mlecznej i skoczyła. Leciąca w dół i w dół aż rozbijała się o Ziemię i potłukła na kawałki. Wtedy ocknęła się w wysokiej trawie pod drzewem. Pan Wąsik smacznie chrapał wciąż na gałęzi zwinięty w kulkę. Stała przed drogowskazem i znów zanuciła pieśń.

– Nie umiesz czytać, że tak się w niego wpatrujesz? A może nie potrafisz podjąć decyzji? – Zabrzmiął głos, ale Śmierć nikogo nie dostrzegła, dopóki drzewo nie otwarło swych oczu.

– Zgubiłam drogę i kawałek siebie – powiedziała Śmierć – chociaż kot zapewnił mnie, że jeśli zgubię drogę, to mogę coś odnaleźć.

– Co to za pieśń, którą nuciłaś? – spytało zaciekawione.

– Usłyszałam ją dawno temu, od pewnej ludzkiej istoty, która nosiła mnie w sercu.

Śmierć chciała odpowiedzieć, że już nie pamięta chłopca, który zaśpiewał dla niej serenadę, że ukryła go głęboko w sobie, w każdym zakamarku swojego istnienia, ale pamiętała.

– Byłam dziewczynką, w której się zauroczył i wodą, którą pił, a nawet powietrzem, którym oddychał. Przybierałam dowolne kształty i sprawiałam, że kosztował mnie kęs po kęsie. Aż któregoś dnia usłyszałam ostatni dźwięk, jaki wydało jego serce – mówiła dalej. – Nie chciał przejść na drugą stronę, ułożył serenadę, którą śpiewał dla mnie każdej nocy. Nie uciekł nawet wtedy, kiedy pokazałam mu się w najstraszniejszej z najstraszniejszych odsłon. Pewnego dnia oddał mi swoje martwe serce i zaczął znikać, kawałek po kawałku, aż w końcu nie zostało nic, oprócz jego pieśni na moich wargach.

– Znasz historię o falach? – zapytało drzewo, a kiedy Śmierć zaprzeczyła, mówiło dalej. – Jeśli spoglądasz na fale, widzisz ich kształt i to jak zbliżają się do brzegu, ale kiedy się rozbijają, tracisz je z oczu. Jednak one wciąż tam są, po prostu wracają do morza i stają się ponownie jego częścią – powiedział.

Śmierć podeszła bliżej i zrobiła coś na podobieństwo objęcia, bo nie miała rąk w tej formie, w której była. Drzewo przyglądało się, jak wraca do siebie i nabiera rumieńców.

– To którą ścieżkę wybierasz? – zapytało.

Tak było, nie zmyślam! Śmierć odwiedziła mnie jakiś czas później. Teraz, kiedy towarzyszę jej w codziennych obowiązkach, mogę śmiało powiedzieć, że wybrała kształt najbliższy memu sercu, chociaż nie tak dostojny, jak wtedy, kiedy się poznaliśmy. Razem odwiedzamy odchodzących z tego świata, wykreślamy kolejne nazwiska z listy, a kiedy już kończymy, Śmierć rozsiada się wygodnie i pozwala mi leżeć na swoich kolanach. Może ujrzyć nas razem, któregoś dnia. Będę tu z nią jeszcze jakiś czas, a później wrócę, aby ponownie stać się częścią morza.

Dorota Morzywołek (1996) – studentka twórczego pisania i marketingu wydawniczego, absolwentka sztuki pisania na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Czytelniczka od fantastyki po literaturę piękną. Dyplomowana petsitterka i pisarka. Pisze bajki fantastyczne i terapeutyczne dla dzieci, opowiadania o śmierci i mikrohistorie o relacjach rodzinnych. W 2019 roku we współpracy ze studentem ASP stworzyła książkę artystyczną dla dzieci pt. Kostuszką i lisek, która oswoja najmłodszych czytelników z tematem śmierci. Interesuje się bajkoterapią, behawiorystyką psów i roślinami. Marzy o psiej kawiarence.

KIEDY O ZMARŁYCH MÓWI SIĘ ŹLE

Z jakiegoś powodu mama postanowiła zorganizować stypę przed pogrzebem, co dla wielu z gości z pewnością okazało się co najmniej niekomfortowe.

O śmierci ojca dowiedziałam się w niedzielę o dziesiątej. Właśnie wynosiłam śmieci – czynność, której nigdy nie przypisuje się istotnej wagi, zwykle pomijana w życiu literackich lub filmowych bohaterów, a już z pewnością nie taka, przy której człowiek dowiaduje się o śmierci rodzica. Śmieci przeraźliwie waliły; przez dłuższą chwilę siłowałam się z wypełnionym kontenerem, a szlochająca w słuchawce komórki mama powtarzała: „Co ja teraz zrobię?”

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie, za to doskonale potrafiłam wyobrazić sobie scenariusz dnia pogrzebu. Pojadę pociągiem, przez całą podróż czytając książkę, by nie ulec żadnym rozpraszaczom. Później kilka minut na przesiadkę, powrót do lektury i pełne skupienie. Podobno książka jest zatrważająco dobra, tak twierdzą krytycy, więc będę mogła rozbierać ją na czynniki pierwsze przez cały pogrzeb. Rozpracuję intrygę, gdy będą wносить trumnę do kościoła, rozgryzę bohaterów, kiedy będą opuszczać ją do grobu. Wtedy zacznę się zbiorowy płacz, teatralny lament w akompaniamencie męczennych nut trąbki, ale to nie szkodzi, bo w tym momencie zastanowię się nad ewentualnymi scenariuszami kontynuacji. Na stypie podadzą kotlecia i ziemniaki, jak na odwróconym weselu, więc przeproszę i wyjdę na papierosa. Tam z pewnością ktoś mnie zaczepi. „Był takim dobrym ojcem”, rozdział czwarty, przemiana bohatera. „Odszedł za wcześnie”, część druga, zwrot akcji. Przeproszę, bo w końcu chciałabym zostać dłużej, ale mój pociąg odjeżdża za godzinę. Tak, z pewnością odwiedzę matkę. Tak, w pracy idzie mi dobrze. Nie, nie zarabiam tyle, ile mówią w telewizji.

Tak, miasto jest ładne i daje możliwości. Och, schudłam? Nie, nie mam partnera. Ach, wcale nie są państwo wścibscy, ciekawość to rozumiała rzecz.

– Kiedy to się stało? – przerwałam mamie, wreszcie domykając kontener. Słowa jak zwykle wypadały z jej ust zbyt szybko, jakby dusiły ją w gardle, jednak z łatwością potrafiłam odmalować w głowie ten konkretny obraz: ranek, szron na szybach, szklanka wódki na stole i leżący na dywanie ojciec, z twarzą albo pustą, albo zaskoczoną, na to mama pewnie nie zwróciła uwagi. Powiedziała, że był zimny, więc musiał leżeć tak od dłuższego czasu. Przeszło mi przez myśl, że to i tak wyjątkowo ładna śmierć – zawsze wyobrażałam sobie, jak dostaje wylewu, siedząc na kiblu, albo zatacza się pod monopolowym, wydając z siebie jakiś zwierzęcy charkot.

– To nie twoja wina, mamó – usłyszałam swój głos, niezbyt pocieszający, ale to nie miało znaczenia, bo szloch zaczął się na nowo, powoli przekształcając się w coś w rodzaju pisku. – Jest z tobą Leon? Weź od niego te tabletki, uspokoisz się, może uda ci się przespać. Dobrze. Tak, postaram się. Tak. Trzymaj się.

Resztę dnia spędziłam w łóżku, próbując przetrwać zarówno kaca, jak i informację, że ojciec odszedł. Deszcz coraz bardziej się wzmacniał, dostawca pizzy podziękował za napiwek, a Instagram zaproponował nową aktualizację. Czas płynął bez zmian, a świat pozostawał przyjemnie obojętny na wydarzenia z życia jednostki, przynajmniej do momentu wieczornej kąpieli i dźwięku przychodzącego smsa.

„Przed chwilą zadzwoniła do mnie Frana. Zaproponowała, by urządzić stypę w jej domu. Ma wrócić jutro wieczorem i wynająć ludzi do sprzątania. Zostaję dziś na noc u Leona. Daj znać, kiedy przyjedziesz. Mama”.

Bo jeśli istniał ktoś, kto potrafił przewrócić świat do góry nogami, była to właśnie Frana.

Willa, w której kiedyś mieszkała Frana, była samotnym, zbudowanym praktycznie przy samej plaży dworakiem z dużym, dzikim ogrodem. W dzieciństwie spędzałam tutaj zdecydowanie więcej czasu niż w naszym mieszkalnym bloku, codziennie odkrywając rezydencję babci na nowo. Frana nie miała zbyt wielu sąsiadów, a nawet jeśli, zazwyczaj interesowali się własnym życiem, co mocno odróżniało ich od pana Adama z trzeciego lub rodziny Wolskich z parteru.

Zwykle pusty podjazd zajmowały teraz dziesiątki samochodów, a ciągnący się po obu stronach ścieżki żywopłot został starannie przycięty, jak na ważną okazję przystało. Poza tym willa wyglądała tak samo, jak te paręnaście lat temu – w słabym, jesiennym świetle przypominała raczej opuszczony pałac, chociaż doskonale pamiętałam jej letnie odcienie i to, jak dom razem z właścicielką budził się w tamtych miesiącach do życia.

Pierwszy po przekroczeniu progu dorwał mnie Leon.

– Czemu nie mówiłaś, że już jesteś? Przyjechałbym na dworzec.

Ta z pozoru przyjazna uwaga podszyta była toną niewypowiedzianego żalu: powinnaś była przyjechać wcześniej, matka czekała, jak możesz zjawiać się dopiero w dzień pogrzebu? Bo choć pociągła twarz Leona pozostawała stonowana, w oczach jak zawsze malowało się wszystko. Przyliżał włosy w dziwaczny sposób, a granatowy krawat wyraźnie odstawał w jedną stronę, co sprawiało, że cała postać brata zdawała się przechylać w lewo. Prócz tego prezentował się nienagannie – poważnie, bez przesadnego żalobnego męczeństwa, solidne wsparcie dla zropanzonej wdowy.

– Potrzebowałam spaceru – odparłam tylko, nerwowo dotykając guzika czarnej koszuli. Leon przyglądał się temu bez słowa, a przez moją głowę przewinęła się myśl, czy on też wyczuwał przebijającą się przez mdłący zapach kadzidel woń domu, tę prawdziwą, którą zaciągaliśmy się w dzieciństwie.

W końcu pokręcił głową z kolejnym przejawem dezaprobaty, którą darzył każdą moją życiową decyzję, po czym w milczeniu weszliśmy w głąb domu.

Urnę z prochami ojca postawiono na stole na środku salonu. Pomieszczenie oświetlała tylko jedna lampa, przez co utrzymane w stonowanych barwach wnętrze przeobraziło się w zimną kaplicę ze snującymi się

wokół urny żałobnikami. Wciąż nie miałam pojęcia, dlaczego matka zdecydowała się nie tyle co spalić ciało, co zorganizować przedpogrzebową stypę. Ktoś właśnie zaparzył kawę, a kilkoro gości minęło mnie, niosąc przed sobą talerze z karpatką. Od zlewających się ze sobą szeptów kręciło mi się w głowie.

– Przywitaj się z matką – rzucił Leon, sam znikając za przesuwanymi drzwiami kuchni.

Wydałam sobie ten rozkaz raz jeszcze, tym razem w głowie. Nogi jednak skutecznie odmawiały posłuszeństwa, protestując wraz z rosnącą w gardle gulą. Ludzie wyłaniali się z każdego kąta, smarkając, siorbiąc kawę, przeżuując masę karparki. Nagle zaczęłam się pocić.

To tylko parę godzin. Parę godzin, powrót na dworzec, miarowy stukot pociągu. Wdech nosem, wydech ustami. Idź przytulić matkę.

Stała po drugiej stronie urny, wpatrzona w wazę jak w świętą relikwię męczennika. Obie wiedziałyśmy, że ojcu daleko było do świętości, jednak podczas gdy mnie udało się ten fakt po prostu zaakceptować, matka nieustępliwie wyznawała mechanizm wyparcia. Towarzyszył jej przez całe życie, zagłuszając wyrzuty sumienia za każdym razem, gdy mąż urządzał rodzinie piekło. Dziwnie było patrzeć na to, co pozostało z moich rodziców, szczególnie z ojca, który z siejącego postrach antagonisty przeobraził się w garść prochu. Jakimś cudem proch ten nadal miał nad nami władzę, co jedynie potwierdzało przykre tezy terapeutów. Nie bałam się ojca, którego odwiedzałam ostatnimi laty, a wspomnienia człowieka, którym był kiedyś, w czasach, gdy on miał wszystko, a ja nic.

Mój widok aktywował w mamie kolejną salwę rozpacz. Wykrzywiający twarz ból niemal deformował jej rysy, co w połączeniu z zapuchniętymi od płaczu oczami stanowiło niepokojącą mieszaninę. Przytuliła mnie, powtarzając czule: „Już dobrze, już dobrze”, tak jakbym to ja na oczach wszystkich zebranych przeobraziła się w lamentującą Matkę Boską.

Przez chwilę po prostu stałyśmy w duszącym uścisku – ona wtulona w moje ramię, ja wpatrzona w wieko urny, tak jakby w każdej chwili mogła wyłonić się spod niego dłoń ojca. Chciałam zapytać, dlaczego musi żegnać go właśnie tutaj, w domu Frany, w miejscu, do którego nigdy nie miał wstępu, w którym czułam się bezpieczna. Nim jednak zdążyłam cokolwiek z siebie wyrzucić, wyrosła przed nami Frana. A potem rozpełtało się piekło.

Jedną z moich dziecięcych obsesji była śmierć.

Wypełniała moją świadomość nieznanym dotąd pierwiastkiem strachu, a rozmowy o pogrzebach, trumnach i palonych ciałach robiły z moim ciałem coś przerażającego. Zwykle zaczynało się od dłoni. Zgromadzone pod skórą dziesiątki mrówek przemieszczały się między ścięgnami, stopniowo wspinając się w stronę łokci i ramion. Później gdzieś w okolicy krtani pojawiał się ciężar i opadał do płuc, więc miejsca na oddech pozostawało niewiele. Moja pierś otwierała i zamykała się niczym uszkodzony akordeon; zazwyczaj kuliliłam się wtedy w kącie i wypatrywałam czarnego trupa z kosą. Najczęściej pojawiali się jednak mama lub Leon, a życie powoli wracało do normy.

Tego ranka właśnie zbieraliśmy się do szkoły, gdy Leon poruszył temat mojego wczorajszego ataku. Zrobił to w niewiarygodnej wręcz nieświadomości, swobodnie wciskając do plecaka przygotowane przez mamę śniadanie. W ostatnim czasie stał się karykaturalnie wręcz niewymiarowy – wysoki jak brzoza i przeraźliwie chudy.

– Musisz się w końcu pogodzić z tym, że wszyscy umrzemy – oznajmił gdzieś pomiędzy zakładaniem jednego a drugiego buta. – Bo co, na pogrzeb babci też nie pójdziesz? Ona umrze szybciej, niż myślisz.

Wracałam do tej chwili wielokrotnie, próbując włożyć do ust starszego brata inne słowa, poszukując dla nich jakiejś alternatywy, dzięki której uniknęłyby gniewu ojca. Przerobiłam w myślach wszystkie możliwe sce-

nariusze: te z uwzględnieniem mojego płaczu, jak i te, w których zachowuję spokój. Wyobraziłam sobie, że ta rozmowa nie ma miejsca, że szykujemy się do wyjścia w ciszy, a jedynym towarzyszącym nam dźwiękiem jest szelest papieru śniadaniowego. Przerobiłam w głowie nawet pantomimę, całkowite odcięcie dźwięku, scenę, w której Leon tylko porusza ustami, ale nikt go nie słyszy, tak samo jak nikt nie słyszy mojego szalu.

Ojciec jednak zawsze nadchodził. Wylał się zza rogu jak niepowstrzymany demon, potężny gladiator, już w drodze napinający mięśnie. Nie do końca pamiętam, jak wtedy wyglądał. To wspomnienie powracało do mnie w różnych formach, najczęściej w snach, które potrafiły zdeformować tatę w pół człowieka, pół byka lub kalekiego starca przypominającego naszego zmarłego sąsiada, pana Edka. Czasem jednak tata pozostawał tatą i ta wersja była najgorsza.

Za każdym razem scena zaczynała i kończyła się tak samo. Najpierw ojciec patrzył na mnie, na dziecko wyjące tak, jakby ktoś obdzierał je ze skóry, a później jego spojrzenie prześlizgiwało się na spanikowanego Leona. Nawet przez łzy doskonale wychwyciłam moment charakterystycznej zmiany w postawie ojca, szcęk przekręcanego w zamku klucza, wypuszczającego na świat tego drugiego mężczyznę. Człowiek ten miał celny cios i zasznurowane usta, bo kiedy bił swoje dziecko, robił to precyzyjnie i pewnie, nie wydając z siebie dźwięku.

Do dziś próbuję sobie przypomnieć, czy naprawdę przestałam wtedy płakać, czy może pamięć po prostu płata mi figle. Bo ze sceny tej pamiętam: pięści, krew i rosnącą na spodniach mojego brata plamę. Potem: głos mamy – modlitwę? – ukruszony ząb Leona, mój leżący w kącie plecak i ramiona taty, które już wynosiły mnie z domu. Pomyślałam wtedy, że chce odwieźć mnie do szkoły, ale nie miałam odwagi wspomnieć o zapomnianym tornistrze. Wsadził mnie do samochodu i zapiął mi pasy, pozostawiając na mojej żółtej koszuli plamy z krwi. Przez resztę drogi po prostu na nie patrzyłam, zastanawiając się czy to krew Leona, czy taty.

Fra na otworzyła nam drzwi w swoim kwiecistym kimonie. Ojciec wciąż trzymał mnie na rękach i musiało to wyglądać absurdalnie, bo miałam prawie dziesięć lat. Fra nie odezwała się słowem, ale długo patrzyła tacie w oczy, a ja dopiero wtedy poczułam strach. Nie przed ojcem, a przed nią.

Przebrała mnie w czystą koszulkę i w milczeniu ruszyliśmy na plażę. Była wiosna, środek tygodnia, a wybrzeże spowiadał taki spokój, jakby nigdy wcześniej nie doznało obecności człowieka. Babcia również musiała wyczuć tę specyficzną aurę, bo przysiadliśmy wyżej, na wydmach, dając morzu przestrzeń na oddech.

– Leon powiedział mi, że muszę się przyzwyczaić do śmierci. Że umrzesz szybciej, niż myślimy.

Fra nie odwracała wzroku od fal.

– I miał trochę racji. Ty też się zwiniesz, kochanie. Zapewne nie tak szybko jak ja, ale w końcu też się zwiniesz.

Płacz znowu zaczął we mnie narastać, puchnąć jak zakrwawiona twarz Leona. Myśl o bracie była jak blokada – płacz momentalnie ustał, głęboko uśpiony.

– Chciałabym, żebyśmy zwinęły się razem. Chciałabym pójść z tobą.

Babcia dotknęła moich włosów z nabożną wręcz świętobliwością. Rzadko wyciągała z rękawa tę maskę, bo zazwyczaj Fra była Franą – dość głośną i dziwaczną starszą panią, ekscentryczną, jak nazywali ją dorośli, kobietą, której komentarze wywoływały na twarzach innych zabawne skurcze i grymasy, u której w kuchennych szafkach zamiast naczyń można było znaleźć słoiki z ręcznie tworzonymi farbami. W gorące dni prała ubrania nad rzeką, a w zimne rozwieszała na ścianach obrazy słońca i posypywała podłogę piaskiem, by poczuć lato. Jej dom zagracały dziesiątki zegarów, każdy ustawiony na inną godzinę, bo jak mówiła: „czas jest pojęciem względnym”. Kochała pracować w ciszy i nienawidziła, gdy pytałam o dziadka. Cały świat trzymała na dystans. Cały, prócz mnie.

– Przyznam, że ten plan jest bardzo kuszący – podjęła – ale obawiam się, że mało realistyczny. Śmierć zazwyczaj zabiera starszych. Niektórzy sądzą, że to zwykła loteria, ale moim zdaniem jesteśmy dla niej po prostu lepszymi kompanami do rozmowy.

Później, gdy obiecała, że zostanie ze mną tak długo, jak będzie mogła, coś w jej twarzy uległo zmianie, a głos stał się poważniejszy.

– Kamila – zagadnęła, gdy wytrzępywałam piasek z butów. – Czy Karol kiedykolwiek cię uderzył?

Nigdy nie nazywała go moim tatą lub ojcem. Karol od zawsze był dla niej Karolem, a imię to zazwyczaj wypowiadała z nieprzyjemną nutą, którą nieco później rozpoznałam pod słowem: pobłażliwość. Tego dnia na plaży coś się jednak zmieniło – głos babci stał się chłodniejszy, tak jakby wydobyła go gdzieś głęboko z piersi. Pytanie zawisło nad nami jak gilotyna.

– Nie – przyznałam zgodnie z prawdą, czując, jak moje ciało oblewa zimna fala wstydu. Babcia długo patrzyła mi w oczy, wyraźnie szukając w nich kłamstwa, ale taka właśnie była prawda, brzydka i niesprawiedliwa: ja pozostawałam z ojcem w jakimś dziwnym pakcie, którego nie rozumiałam, a Leon przyjmował na siebie cały jego gniew. – Mnie nigdy – dodałam, w duchu modląc się, żeby Frana zrozumiała.

Zawsze rozumiała.

W dniu pogrzebu również patrzyła na mnie w sposób, który mówił, że rozumie. Stała kilka kroków dalej, ubrana w zwiewną, szarą sukienkę do kostek. Tym razem założyła buty, a w długi warkocz wplotła jedynie czarne perły, żadnych ekscentrycznych drutów czy liści.

Uśmiechała się do mnie w sposób, który uświadomił mi, że choć nie widziałam jej od lat, rozpoznałabym ją zawsze i wszędzie, niezależnie od tego, jak bardzo by się zmieniła.

– A więc zguba się znalazła – przemówiła tym samym, ochrypłym od setek wypalonych papierosów głosem. – Trochę musieliśmy na ciebie czekać.

Czułam, że mnie prowokuje, że chce, bym odpowiedziała: „Nie tak długo, jak na ciebie”, bo znałam Franę lepiej niż ktokolwiek inny, więc wiedziałam, że nie istniało dla niej nic gorszego, niż ignorowanie, szczególnie z mojej strony. Spojrzałam więc na nią bez wyrazu, odpierając obojętnie:

– Przepraszam za spóźnienie.

Odsunęłam mamę i ruszyłam w wir czekających na mnie kondolencji i sztucznych uścisków, wszystko, byleby nie konfrontować się z Franą, przynajmniej nie teraz. Tak jak przewidywałam, rozmowy kręciły się głównie wokół tego, jak ciężko jest stracić ojca. Bywało, że ktoś rozklejał się przy tych słowach tak nagle i żałośnie, że to ja musiałam przejmować rolę pocieszycielki. Ślepawa ciotka Bogusia zaciągnęła mnie na bok, dociekając, skąd tak niechrześcijański pomysł na spalenie ciała, a kuzynka Tamara, która ostatnio sama pochowała matkę swojego męża, narzekała na wysoką cenę pogrzebu, przy okazji zaciekawiona tym, czy planuję dzieci. Ktoś podał mi szklankę wody, ktoś inny wcisnął talerz sałatki jarzynowej, bo przecież muszę coś zjeść, nie mogę stracić sił. Ale chociaż odgrywałam swoją rolę wręcz perfekcyjnie, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że Frana stoi tuż obok i obserwuje. Frana, której nie widziałam od ponad pięciu lat, która pewnego dnia zabrała tylko kilka swoich najcenniejszych farb i płócien, po czym zniknęła z mojego życia, zupełnie tak, jakby nigdy jej w nim nie było.

– To bardzo miłe, że zorganizowała stypę w swoim domu – oznajmiła Pani Danusia, bliska przyjaciółka mamy z parteru. Gdy mówiła, jej drugi podbródek drżał niczym galareta. – Wróciła z Włoch na stałe, czy tylko na pogrzeb? Musi mieć bardzo dużo... uznania, skoro zostawiła tak bogaty dom. Ciekawa kobieta z tej twojej babci.

Nagle zebrało mi się na wymioty. Mogłam przytakiwać na słowa, że ojciec był dobrym człowiekiem, mogłam się zgadzać z tym, że matka będzie potrzebowała mojej obecności, ba, mogłam nawet odpowiadać na pytania, dlaczego w tym wieku wciąż nie założyłam rodziny, ale Frana... Sama myśl, że miałabym toczyć o niej dyskusje w tak toksycznym środowisku, praktycznie pozbawiała mnie oddechu.

– Muszę się przewietrzyć – rzuciłam i skręciłam w kierunku kuchni, z której wychodziło się na taras. Tam jednak nie czekał na mnie spokój, a jedynie kolejna konfrontacja z Leonem, który właśnie wciągał biały proszek z metalowego pudełka.

Stał niecały metr dalej, nawet nie próbując się ukryć, a kiedy podniósł wzrok, w jego oczach nie było strachu lub choćby zaskoczenia, jedynie litość.

– Co, już sobie nie radzisz? – zakpił i raz jeszcze pociągnął nosem. Pudełko schował do kieszeni spodni. – Wystarczy godzina, żebyś znowu chciała uciec? Przecież wiedziałas, że tu będzie. Nie powinnaś się cieszyć? To w końcu twoja ukochana Frana.

Patrzył na mnie, a za sobą miał tylko las, wysokie, szumiące drzewa, po których jeszcze kilkanaście lat temu pomagał mi się wspinać, ramię w ramię, bez cienia złośliwości. Teraz jedynym, co nas łączyło, był żal. Bo chociaż ojciec odszedł, jego spuścizna wciąż w nas żyła.

– Zostawiła mnie – przypomniałam cicho. – Zostawiła mnie tak samo jak ciebie.

Leon zaśmiał się bez krzty rozbawienia.

– Przecież mnie nigdy nie chciała. Liczyłaś się tylko ty, dziecko, które można jeszcze ochronić. A potem okazało się, że nie jesteś tak wyjątkowa, jak myślała i zdecydowała się wyjechać bez ciebie. Co? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Przecież to ty zawsze powtarzałaś, że powinniśmy mówić prawdę. Zaczniemy więc od siebie.

W miarę, jak wyrzuciłam z siebie słowa, zdążyłam zauważyć, że jest pijany. Dotychczas ignorowałam telefony mamy, w których martwiła się o zdrowie Leona, o to, że podobno coraz częściej sięga z ojcem po piwo. „Z odwiecznych wrogów w najbliższych przyjaciół”, przechodziło mi przez myśl, gdy z gryzącymi wyrzutami sumienia odpowiadałam, żeby się nie martwiła, że to na pewno nie taki stan jak w przypadku ojca. Wtedy w słuchawce zapadała cisza, po której zwykle mama zniżała głos i z zatrzważającą wręcz szczerością pytała: „co masz na myśli?”

Teraz również poczułam gotującą się w żyłach krew.

– I myślisz, że to dobry moment na szczerość? Pogrzeb ojca?

– Lepiej późno niż wcale. – Oczy Leona zapłonęły czymś niebezpiecznym. – W sumie, czemu nie? Chodźmy. Rozprawmy się z tym raz na zawsze.

Zanim zdążyłam jakkolwiek zareagować, on już mnie mijał, stawiając ciężkie, zdecydowane kroki w kierunku salonu. Coś ciężkiego opadło mi do żołądka, złe przecucie, które przez cały dzień tkwiło z tyłu głowy.

Frana nawet nie próbowała udawać zainteresowanej rozmową z gośćmi. Pochylała się nad szwedzkim stołem, przyglądając się jego zawartości krytycznym okiem. Dopiero wtedy dostrzegłam, jak bardzo schudła – zawsze wydawała się niezdrowo wręcz szczupła, teraz jednak jej kościste ramiona przerażały, a oczy wydawały się jeszcze większe. Leon zatrzymał się obok urny, ściągając na siebie uwagę wszystkich gości. W powietrzu zawisło jakieś niebezpieczeństwo; Frana także musiała je wyczuć, bo w końcu i ona podniosła wzrok, szukając w tłumie mojej twarzy. Cokolwiek na niej dostrzegła, wyprostowała się jak przygotowany na starcie drapieżnik.

– Chciałbym podziękować mojej babci Franciszce Flis za zorganizowanie tego pożegnania w swoim domu. – Głos Leona spłynął po moich plecach zimnym dreszczem. – W naszej rodzinie nigdy nie było tajemnicą, że nie przepadałaś za mężem swojej córki. Tym bardziej więc chciałbym podkreślić twoją hojność, której mój ojciec niestety nie będzie mógł już niestety docenić. Myślę, że powinnaś się podzielić paroma zdaniem z naszymi gośćmi, opowiedzieć im o swojej relacji z Karolem. Ojciec na pewno by tego chciał.

W przeciągającym się milczeniu słychać było jedynie powrzaskiwania zebranych na piętrze dzieci. Cały parter zamarł w jakimś przerażającym bezruchu, jakby wszyscy obawiali się, że nawet głębszy oddech może aktywować bombę. Sama nie miałam odwagi chociażby przełknąć ślinę. Wpatrywałam się w twarz Frany, teraz ściągniętą w mieszaninę rozbawienia i konsternacji.

– Ktoś kiedyś stwierdził – zaczęła w końcu babcia – że o zmarłych nie powinno mówić źle. Z szacunku do twojej matki przystanę na ten... przesąd.

– Z szacunku – parsknął Leon, a jego nozdrza rozszerzyły się w dzikim wydechu. – Z tego samego szacunku, z którego przez całe życie mieszałaś ojca z błotem? Teraz możesz to chyba przyznać: zawsze patrzyłaś na niego z góry, na całą naszą rodzinę. A teraz jesteś tutaj, wśród tych wszystkich ludzi, którzy naprawdę chcą go pożegnać. Jak się z tym czujesz, babciu?

Frana zmrużyła oczy.

– O co dokładnie pytasz, chłopcze?

Leon zacisnął pięści. Ktoś przy urnie się poruszył – matka? – ale tego nie dało się powstrzymać, już nie.

– Jak się czujesz z tym, że jesteś jebaną pozerką? – Rozległy się pierwsze westchnięcia; wykorzystałam je, by podejść do Leona. Śmierdział mieszkanką alkoholu i dezodorantu, ale nawet ten zapach nie maskował buzującej w powietrzu wściekłości. – Udajesz, że ci zależy. Zostawiasz nas, a później organizujesz tę stypę...

– ...a ty się na nią godzisz. – Frana powoli nałożyła na talerz kawałek szpinakowej tarty. – Czyżbym przepięła jakiś akt oporu? Nie, chętnie przyjąłabym tę propozycję, więc nie rozumiem, o co ci chodzi. Jeśli potrzebujesz chwili przerwy na wytrzeźwienie, w porządku. Sama nie lubię dyskutować po pijaku.

Leon zatrząsnął się jak w gorączce. Chwyciłam go za łokieć, ale on strząsnął moją dłoń jak robaka.

– Nienawidzę cię – syknął. – Ty jebany bydlaku.

Frana przechyliła głowę, ostatnia chwila przed eksplozją.

– Mnie? – Jej palec wskazał urnę. – Czy jego?

Leon ruszył. Dwa kroki w stronę Frany, rodzący się w moim gardle krzyk i bieg matki, a później gwałtowny skręt w stronę stołu z urną, szal, szal i wrzask, gdy stół przewraca się na ziemię, a z nim i urna, z której wysypują się prochy. Część opada na buty ciotki Bogusi, która wrzeszczy przeraźliwie, co najmniej, jakby prochy spaliły jej stopy. Rzucająca się na podłogę matka, zgarniająca spopielone ciało ojca na swoje dłonie, potem pod spódnicę, jej trzęsące się dłonie, próbujące sięgnąć po przewróconą urnę.

Zaraz się porzygam, przechodzi mi przez myśl, bo czuję, że to nie rzeczywistość, że to tylko sen, w którym czas jeszcze bardziej jest pojęciem względnym. A potem wracam do rzeczywistości.

– Coście narobili – załkała mama, wciąż zagarniając prochy ojca, mieszające się z kurzem i zniesionym na butach gości błotem. – Karol, mój Karol...

Leon nie przestawał dyszeć. Oczy pociemniały mu do tego stopnia, że jego źrenice przypominały teraz dwie czarne planety.

– Chodź ze mną – poprosiłam cicho, ale on już się wybudzał, już robił dwa kroki w tył i w panice wybiegał na zewnątrz. Ktoś pomógł matce wstać, na pewno nie ciotka Bogusia, bo teraz i ona znajdowała się na skraju omdlenia, powtarzając: „Zdejmijcie mi je, zdejmijcie mi buty!”

Spojrzałam na Franę, a ona tylko uniosła brwi, ładując sobie do ust kawałek tarty.

Po pogrzebie pozwoliłam jej odprowadzić się na stację. Padalo, więc skryłyśmy się pod jednym parasolem, nie komentując zarówno stypy, jak i samego pogrzebu. Przed budynkiem dworca chodnik zalewały już ogromne kałuże; przystanęłyśmy pod zadaszeniem, dzieląc się ostatnim papierosem z paczki. To było niemal absurdalne, fakt, że stała tuż obok mnie, pod jednym parasolem, czując na skórze to samo wilgotne powietrze.

– Zostanę z nią przez jakiś czas – odezwała się po chwili, mając na myśli mamę. – Aż się trochę pozbiera.

Może weźmiesz ją ze sobą, chciałam zaproponować, teraz, skoro nie ma już ojca, głównej przeszkody, tego, co was poróżniło. Próbowałam wyobrazić sobie mamę w rozgrzanej do czerwoności Bolonii, albo popijającą schłodzone wino w morskiej Sardynii. Ten obraz jednak nie wyglądał naturalnie, może dlatego, że mama nie

mogłaby opuścić ojca. W tym przypadku syndrom sztokholmski działał nawet po śmierci.

– To dobrze – odparłam tylko, a ona na szczęście nie poruszyła tematu Leona, może z wyrozumiałości, może z czysto egoistycznych pobudek.

Miałam tak dużo pytań, ale żadne nie chciało przejść mi przez gardło. Wsiąść w pociąg, wyciągnąć książkę, dokończyć ostatni rozdział. Wrócić.

– Mogę cię za jakiś czas odwiedzić? – zapytała, a ja długo zaciągałam się papierosem.

– Mam teraz nowe życie – odpowiedziałam tylko, dając jej pole do własnej interpretacji.

Frańka odchyliła głowę. Byłyśmy niemal tego samego wzrostu, babcia i wnuczka, tak bliskie, a równocześnie zupełnie obce sobie kobiety.

– I co? – dopytywała. – Jest lepsze?

– Czasami – odparłam zgodnie z prawdą, a ona spojrzała na mnie w sposób, dzięki któremu wiedziałam, że rozumie.

Zawsze rozumiała.

Kinga Paterak – po ukończonym licencjacie ze sztuki pisania rozwija się literacko na twórczym pisaniu i marketingu wydawniczym. Interesują ją ludzie, relacje, traumy i wszystko to, co można przekuć w dobrą i szczerą opowieść. Czujna obserwatorka rzeczywistości, która docenia czarny humor i złożone charaktery. Przez znajomych zazwyczaj wołana po nazwisku.

Małgorzata Poręba

BEZ OGRANICZEŃ

Axel udawał rozluźnionego. Axel w ogóle udawał. Axel udawał nieustannie, już od kilku lat, choć było to nic w porównaniu z udawaniem, które czekało go przez następne trzy doby.

Ale Axel był na to gotowy.

Humanoidalny robot polecił mu, by wszedł do kapsuły, która miała prześwietlić go dokładnie w poszukiwaniu wszelkich ukrytych sprzętów, a prócz tego sprawdzała jego poziom stresu. Nic nie mogło się ukryć. Nic prócz przezroczystej, mikroskopijnej, wykonanej ze specjalnego materiału kamerki, czyli ultranowoczesnego produktu, który nie wszedł jeszcze na rynek. Axel, dziennikarz ze specjalną misją, misją na skalę państwową, jeśli nie światową, dostał tę kamerkę przedpremierowo. Nie była jeszcze w pełni sprawna, bo nie streamingowała na żywo agencji tego, co widział. Ale nagrywała nieustannie i gdy już będzie po wszystkim, Axel przekaże swoim pracodawcom cenne kilkadziesiąt godzin nagrań.

Tymczasem zdjął z siebie wszystkie ubrania, wyrównał oddech i wszedł do kapsuły. Ćwiczył opanowywanie stresu miesiącami. Gdyby maszyna wylapała szybciej bijące serce lub drżenie rąk, nabrano by podejrzeń, że jednak coś ukrywa. Opanowany, czekał minutę w zamknięciu, aż kapsuła zrobi swoje. Oczywiście nic nie wykryła. Nie spodziewał się innego wyniku. A potem wyszedł, otrzymał od robota tymczasowy zestaw ubrań – zwykły biały kombinezon, który włożył – i ruszył dalej.

Od tego momentu nie miał już przy sobie nic swojego poza ciałem. Wszystko oferował mu park nowoczesnej rozrywki, najbardziej strzeżony na świecie Roboland. Gdy przekroczy jego granicę, niemal wszystko będzie już dozwolone. Niemal, bo nie może zabić ani poważnie okaleczyć żadnego z dwudziestu dziewięciu

pozostałych klientów parku, którzy załapali się na majową turę. Ale to nie było istotne. Do Robolandu nie przychodziło się po to, by wyżywać się na elitarnych milionerach, których stać na taką rozrywkę. Do Robolandu przychodziło się, by wyżywać się na robotach. A jeśli Axel i jego przełożeni mieli rację, ten konkretny park robotów, tak zwany Deluxe, oceniany najlepiej na całym świecie, jako jedyny oferował znacznie więcej. Na tyle, że zakrawało to o poważną, wielopoziomową zbrodnię.

Axel wszedł do kolejnego pomieszczenia kontrolnego, w którym dwóch innych ludzi w tym samym co on stroju czytało właśnie i podpisywało ostanie pisemka na wirtualnych ekranach. Dostał od robota czytnik, który wyświetlił mu jego prawa, ostrzeżenia i notkę dotyczącą zachowania poufności pod groźbą śmierci. Axel machnął palcem podpis. Znał ryzyko. Ale i znał swoich przełożonych. Będą go chronić do samego końca, bo leży to w ich interesie.

Sześć lat przygotowań i wręczania się w elitarne środowisko bogaczy. Sześć lat uciążliwego działania pod przykrywką. Aż wreszcie się udało. Dostał się na odpowiednią, wyznaczoną przez agencję turę, na listę wybrańców, którzy odwiedzają Roboland. *Ten* Roboland. Park działał tylko dwanaście razy w roku, trzy dni w miesiącu, zawsze dla zamkniętej grupy trzydziestu osób. Reszta miesiąca była czasem na doprowadzenie tego miejsca do pierwotnego stanu. Park zaś skrywał się pod ogromną kopułą na leśnym odludziu Ameryki Południowej.

Wreszcie wszedł do przedostatniego pomieszczenia, czyli garderoby. Cybernetyczne ubrania na miarę końca dwudziestego pierwszego wieku wprawiły go w zachwyt. Były dostosowane pod jego wymiary. I pod jego ksywkę. Każdy miał tu ksywkę, zazwyczaj jakąś wymyślną i głupią. On nazwał siebie Electro. I takie też ubrania dostał: niebieskie, błyszczące, emanujące tak zwanym bezpiecznym prądem, świecące w ciemności. Wybrał jednak względnie neutralny zestaw, czyli granatowy płaszcz wyściełany jarzącymi się błyskawicami, do tego czarny kombinezon z wibrującego materiału masującego delikatnie mięśnie, a także falisty kapelusz, pod którym planował kryć twarz. Miał się nie wyróżniać. Miał się wtopić w tłum. I miał obserwować.

W końcu dołączył do gotowych już gości czekających przed głównym wejściem do parku. Od różnorodności kolorystycznej i przepychu strojów aż zawirowało mu w głowie. Szybko zauważył swój główny cel misji. Martinez Losta, znany i bardzo wpływowy polityk, tak jak większość tutejszych osobistości dokonał tymczasowej korekty twarzy, by nikt go nie rozpoznał. Ale Axel doskonale wiedział, z kim ma do czynienia. Z zepsutym zbrodniarzem i nietykalnym manipulantem, którego można było załatwić tylko czymś naprawdę skandalicznym. A wizyta w Robolandzie, i to Robolandzie Deluxe, mogła się do tego przyczynić. Losta, o pseudonimie Cobra, pełen mieniących się, ciemnozielonych łusek i z okazałym kołnierzem swojego palto, który przypominał szyjny kaptur węża, reprezentował się równie ślisko i jadowniczo, co na co dzień.

Axel wdał się dla niepoznaki w luźną rozmowę na temat oczekiwań od Robolandu z kilkoma zdeprawowanymi bogaczami, jednak na szczęście nie trwała ona zbyt długo. Gdy tylko zebrali się trzydzieścioro klientów, sam właściciel placówki, niejaki Golder de Louge, zaszczycił ich swoją obecnością, stając przed szklanym wejściem do parku. Jego czarne, choć połyskujące na złoto włosy oraz złoty garnitur z diamentową muszką błyszczały tak, że aż głowa bolała.

– Moi drodzy, wyjątkowi goście – powiedział donośnym, dźwięcznym głosem Golder, ukazując złote zęby. Szkoda, że nawet skóry nie ma złotej, pomyślał z zażenowaniem Axel. – Wiem, że długo czekaliście na to, by się tu znaleźć. Ale obiecuję wam, że nie zawiedziecie się. W Robolandzie Deluxe możecie spełnić wszystkie wasze najgłębsze pragnienia. Nikt was nie będzie oceniał, nikt też się o niczym nie dowie. Zapewniam was, że po wizycie w moim Robolandzie każdy wychodzi spełniony i gotowy, by wrócić do nudnego życia. Nie przedłużając: zapraszam was, kochani, do środka! Najpierw poznacie park.

Gdy tylko przeszli przez szklane drzwi, czekały na nich u progu unoszące się pół metra nad ziemią nowoczesne busiki, sterowane automatycznie. Wsiedli do środka w kilka osób – Axel tuż za Lostą – i ruszyli przed siebie drogą wśród metalowych, powykrzywianych drzew. Na wirtualnym, półprzezroczystym ekranie

z przodu pojawiła się twarz Goldera, który zaczął im opowiadać na bieżąco, co widzą. Pierwsze stoiska z popularnymi gramami i atrakcjami właściciel zbył machnięciem ręki, tłumacząc klientom, że zaczynają od miejsc, jak to ujął, najłagodniejszych, a im dalej w głąb parku, tym zrobi się ciekawiej. Losta mruknął coś z niecierpliwością do kobiety obok, a ta zaraz przytaknęła. Axel usłyszał, że nazywa się Mecha. Jej surowy, metaliczny strój z dziwnymi rurkami i kolcami oraz proste, srebrne włosy dokładnie zaczesane w tył i splecione z miedzią jakoś go odpychały. Pewnie była pokroju Losty. Właściwie każdy tutaj był jego pokroju, bo kto inny pchałby się w to miejsce?

Po chwili dojechali do ogromnego, wyłożonego złotą płytką placu, przed którym stała wirtualna tabliczka: *Strefa Łagodna*. Niesamowite kolory i kształty budynków, koliste i kanciaste, z ruchomymi, neonowymi szyldami; otwarte zagrody, w których Axel zdołał dostrzec zwierzęta-roboty; kasyna i burdele, zza których wystawały męskie, żeńskie bądź niebinarne roboty, uśmiechające się zachęcająco... Axel musiał przyznać, że chętnie przejedzie się na mechanicznym koniu lub ogra sztuczną inteligencję w pokera. Obawiał się jednak, że Losty tu raczej nie zastanie, ten bowiem westchnął, patrząc tylko dalej w głąb parku, jakby szukał czegoś konkretnego. Golder natomiast tłumaczył, że tutaj można się świetnie zabawić, choć raczej w ramach relaksu – cielesnej lub umysłowej przyjemności.

Busiki skrzyły w lewo, w błyszczącą się kusząco drogę, która prowadziła do znacznie większego miejsca, czyli, jak głosił szyld, *Strefy Podwyższonego Ryzyka*. Ryzyka zepsucia moralności, sprecyzował Golder, śmiejąc się serdecznie i błyszcząc przy tym złotymi zębami.

– Widzicie te wielkie hale? – spytał. Nie dało się nie zauważyć. Jedne ze ścian były stylizowane na dzikie dżungle, drugie na nowoczesne miasta, a trzecie na krwawą wojnę. Było ich co najmniej kilkanaście. – Tutaj znajdują się przede wszystkim miejsca na przygody i misje, w których wszystko jest dozwolone! W zależności od poziomu trudności, jaki wybieriecie, możecie zostać zranieni lub nie. Oczywiście nasi medycy służą pomocą. Roboty was zabić nie mogą, także bez obaw. Pamiętajcie: im realniej, tym lepsze przeżycia! – Golder zachichotał. Losta o dziwo też, choć nadal mruczał coś niecierpliwie pod nosem. – Dobrze, jedźmy dalej.

Po minucie dojechali do *Strefy Wysokiego Ryzyka*. Mijali więzienia i klatki dla robotów, dzieci-niewolników na smyczy, kwatery historycznych SS-manów z komorami gazowymi, pokoje tortur, sado-burdele, maszyny do projektowania własnych robotów. Losta wyraźnie się ożywił, zwłaszcza gdy Golder wspominał, że tutaj roboty są jak mięso armatnie, ludzkie bardziej niż gdziekolwiek indziej, że tutaj każdy znajdzie coś dla siebie.

– O tak, wreszcie coś dla mnie – pisnął z ekscytacją mężczyzna obok niego, niejaki Predanto, łysol ubrany w krwawo-czarny lateks, odpychający chyba bardziej niż Losta. Z robo-dziecka zebrzącego na ulicze przeniósł wyczekujący wzrok na Axela, który również wyraził entuzjazm. Ani na sekundę nie mógł pokazać, że coś go oburza czy brzydzi. Starał się mrugać jak najmniej, by kamera wszystko chłonęła. Chciało mu się wymiotować.

Gdy wyjechali z tej strefy, zaczęło się robić jakby ciemniej. Sztuczne słońce zaszło za chmurami, drzewa czerniały i gęstniały, robiło się też ciszej. A mina Goldera dla odmiany wyrażała coraz większą ekscytację.

– No szybciej, szybciej – powtarzał natarczywie Losta. Mecha wybijała niecierpliwie rytm długimi paznokciami o swój metaliczny strój. Predanto aż się ślinił, poruszając nerwowo nogą.

W końcu pojawiła się przed nimi największa w parku hala, długa na ponad pół kilometra, w całości czarna. Surowo prostokątna. Tajemnicza. Zła. Napis głosił: *Strefa Ekstremalna*. Axelowi szybciej zabiło serce. A więc to tutaj. A więc to prawda.

– Tak, kochani, to miejsce jest zarówno naszą największą chlubą, jak i największą tajemnicą – mówił Golder, emanując dumą. – Znajdziecie tu nie tylko roboty, ale i prawdziwych ludzi, którzy są do waszej dyspozycji w najrozmaitszych grach i rozrywkach, czy to psychologicznych, czy to fizycznych. Ale nic więcej wam nie zdradzę. Polecam jednak zostawić sobie to miejsce na koniec, by stopniować wrażenia, moi drodzy. A teraz pojedziemy prosto do waszych apartamentów, gdzie możecie coś zjeść lub zaplanować zabawę.

Podczas gdy busik zaczął się wycofywać, Losta i Mecha odwrócili się do Axela i Predanto.

– Hej, wy – powiedział Losta, patrząc na nich żółtymi oczami z kreskami zamiast źrenic. – Chcecie do nas dołączyć? Mamy zamiar iść prosto do *Ekstremalnej*.

– Tak, tak! – zawołał Predanto.

Axel zeszywniał na moment.

– Tak od razu? – spytał, by zyskać na czasie.

– Nie chcesz, to nie, idioto – odparowała wprost Mecha, przewracając srebrnymi oczami.

– Ależ chcę. Bądźmy szczerzy, to dla niej tutaj jesteśmy – powiedział szybko Axel, czując, że się poci. Losta uśmiechnął się frywolnie, a kobieta tylko wzruszyła ramionami, unosząc cienkie brwi. Axel spojrzał w bok, w szybę. Nie tak miało być. Miał obserwować z boku, a nie się angażować. Westchnął cicho. Byle nie wyjść z roli. Byle obserwować. Byle wykonać misję, do której przygotowywał się tyle lat.

Po około godzinie, gdy już zagościli się w prywatnych, luksusowych apartamentach, stanęli w czwórkę przed wejściem do mrocznej *Strefy Ekstremalnej*. Radosne podniecenie towarzyszy było dla Axela odrażające, choć musiał przyznać, że sam był zaintrygowany.

Weszli. W środku panowała ciemność, jednak gdy przekroczyli próg, w efektowny sposób zaczęły zaświecać się po kolei neonowe, różnokolorowe drzwi, rozstawione na całej długości hali co kilkanaście lub kilkadziesiąt metrów. Oświetliły nieznacznie ciągnącą się daleko czarną ścianę przed nimi. Rozjaśniała i ogromna restauracja obsługiwana przez roboty; zamigotało kilkadziesiąt rodzajów trunków oraz tabletek gotowych do zmieszania i wypicia, by jeszcze podsyć odbierane wrażenia. W tle zagrała ciężka, elektroniczna muzyka.

– Cztery razy whisky z ekstazą! – zarządził od razu Losta.

Nim jeszcze zdążyli podejść do potężnej ściany z drzwiami, jeden z robotów już przyniósł im na tacy szklaneczki z trunkiem. Stuknęli się nimi.

– Za niezapomniane wrażenia – oznajmił Losta, oblizując wargi.

Axel nie chciał tego pić. Jego wahanie zauważyła Mecha, jednak zanim coś powiedziała, dwoma porządnymi łykami opróżnił szklanekę, starając się nawet nie skrzywić. Kobieta zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok. Tymczasem Predanto już czytał opis pierwszych różowych drzwi, śliniąc się przy tym z emocji.

– *Pobaw się z dziećmi*. Muszę zerknąć, no muszę... – zamruczał. I tyle go widzieli.

– Ten to ma nasrane we łbie – uznała pogardliwie Mecha.

„Odezwała się”, pomyślał z goryczą Axel. Następne drzwi również zachęcały do zabawy, tyle że na odmianę z młodzieżą, dorosłymi lub starcami. Axel wiedział już, że za żadne skarby nie zajrzy za żadne z nich. Dalej minęli pomarańczowe wejście *Przetnij i sprawdź* oraz żółte *Granica bólu*, aż w końcu Losta przystanął przy czerwonych *Króluj i dysponuj*.

– Pozwólcie, że tu wstąpię – powiedział z uniesioną głową. Axel zdążył tylko zauważyć wysoki, mechaniczny tron i jakieś klatki, nim Losta zniknął na dobre za drzwiami.

Mecha spojrzała na niego.

– Nie lubię cię, Electro – powiedziała ostrym tonem. Miała ogromne źrenice. – Coś mi w tobie nie gra. Nie pasujesz tu. Będę cię mieć na oku, gnojku.

Ruszyła prędko dalej w głąb hali, nawet nie czekając na jego odpowiedź. Axel zachował zimną krew. Nic na niego nie miała. Mimo to poczuł stres. Poszedł za nią, chcąc jej jakoś dogadać, ale ta zniknęła za fioletowymi drzwiami z podpisem *Rosyjska ruletka*.

Został sam. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wrócić do pokoju Losty i nie spróbować go poobserwować z ukrycia, ale najpierw sam chciał sprawdzić choć jedno drzwi. *Doktor Check i jego pacjenci*, *Bij i rżnij*, *Komisariat*... Komisariat? Brzmiało w miarę dobrze. Axel westchnął krótko, po czym, nie zwlekając, wszedł do środka. Zdziwiło go, w jak małym, pustym pomieszczeniu się znalazł. Przed sobą miał przezroczystą szybę, za którą widniała jedynie biała ściana z sześcioma boksami. Po chwili zabrzmiał krótko jakiś dzwonek i do

pomieszczenia za szybą zaczęły wkraczać podobne do siebie kobiety różnego wzrostu, blondwłose, chude i blade, o wykrzywionych w złości, rozpacz lub strachu twarzach. Weszły do boksów, które automatycznie się za nimi zamknęły. Nad każdą z nich pojawił się cyfrowy numer.

– Jedna z tych kobiet jest człowiekiem, pozostałe to roboty, które się pod nią podszywają – odezwał się wszechobecny, mechaniczny głos. – Spróbuj pozostawić przy życiu człowieka, a w nagrodę będziesz mógł zdecydować o jego losie.

Axel otworzył szeroko oczy. Że co? Dopiero teraz zauważył, że na szybie znajduje się panel z przyciskami od jeden do sześć, poniżej przycisk o nazwie *mikrofon*, a wokół niego cztery guziki: zmiażdżenie, strzał, nacięcia, przepełnienie. Nie mógł w to uwierzyć. A co, jeśli się pomyli? Nacisnął drżącym palcem mikrofon i spytał wprost:

– Która z was jest człowiekiem?

Krzyki, które potem usłyszał, sprawiły, że aż się cofnął. Kobiety błagały o litość, piszczały, klęły, pluły, waliły w szyby boksów; piątka zwymiotowała i z paniczną nadzieją zaczęła wskazywać na ohydny mąż, wrzeszcząc, że przecież robot by tak nie umiał. Ale zaraz potem kolejna wsadziła sobie palce w gardło i również puściła pawia. Axelowi też zebrało się na wymioty. Już chciał stąd wyjść i zapomnieć, że w ogóle miał wziąć udział w tej chorej grze, gdy do środka weszła niespodziewanie Mecha. Wyglądała na zdziwioną jego widokiem.

– A co ty tu, kurwa, robisz? – spytała, ale potem zobaczyła scenę za szybą i jej twarz wykrzywił uśmiešek. – O, chętnie dołączę. Ruletka nie była dla mnie. O co tu chodzi?

Axel pobladł. A jednak wyjaśnił jej z udawanym znużeniem, co trzeba zrobić, jak bardzo mu się nie chce i że chyba poszuka czegoś lepszego. Mecha jednak pokiwała głową.

– Nie, nie, poczekaj, zaraz to ogarniemy – oznajmiła radośnie. – Jeszcze nie zaczęłaś, co?

– Zaczęłam. Chciałam z nimi pogadać i...

Mecha machnęła ręką, po czym podeszła do panelu, nacisnęła jedynekę i wybrała któryś z przycisków śmierci. Nim Axel zdążył zareagować, pierwsza z kobiet została przecięta od tyłu piłą na pół. Ciało upadło, ukazując pod sztucznymi mięśniami stertę kabelków.

– Widzisz? Tak to się robi! – zawołała z zadowoleniem Mecha. – Teraz ty. No?

Lament kobiet zza szyby wirował mu w uszach. W jego rękach było życie prawdziwej, przerażonej osoby, która zapewne wcale nie musiała udawać. Jak w ogóle dała się namówić, by wejść do boks? Podeszedł do panelu, wybrał kobietę, która jako druga wywołała wymioty, i nacisnął „strzał”. Sekundę później bioniczny mózg robota leżał rozlany na ziemi. Rozradowana Mecha już miała nacisnąć numer pięć, gdy Axel ją zatrzymał.

– Nie, zaczekaj. Możliwe, że to ona jest człowiekiem. Zwymiotowała. Jako pierwsza.

Numer pięć trząśnięty od płaczu, patrząc tępo w ziemię i obejmując się rękami. Mecha wzruszyła ramionami i nacisnęła numer cztery. Kilkanaście noży jednocześnie wyłoniło się ze ścianek i pocięło czwórkę, rozpruwając jej przy tym brzuch. Kobieta jeszcze żyła, gdy flaki zaczęły wylatywać na podłogę. Nie było tam ani śladu kabelka. Ani śladu.

– Ups, pomyliłeś się. – Mecha zaśmiała się, jakby to był dobry żart.

– O Boże... – wyrwało się Axelowi, który zakrył usta ręką. – A tak chciałem wygrać – dodał natychmiast, nadludzkimi siłami starając się trzymać emocje na wodzy.

– Mówiłam. Nie pasujesz tu, Electro – powiedziała słodkim głosem Mecha.

W tym samym momencie rozległ się mechaniczny głos, który poinformował, że gra skończyła się niepowodzeniem i zapytał, czy przygotować drugą rundę. Mecha wyraziła taką chęć. A Axel po prostu wyszedł, nie mogąc znieść jej spojrzenia, które mówiło, że nie zostawi tak tego. Że da mu popalić. W końcu tutaj nie przychodzą tacy, których nie cieszy przemoc.

Axel myślał jednak tylko o tym, że to przez niego umarła ta kobieta. Przez niego. Przecież wiedział, że tak może wyglądać jego misja. A zaczynał się rozsypywać już na samym początku.

Ekstaza nie zadziałała na niego najlepiej. Potrzebował jej więcej, jeśli chciał to przetrwać.

Poszedł do baru i poprosił o podwójne whisky z narkotykiem. Ciężka muzyka dudniła mu w uszach. Skrył głowę w dłoniach. Nawet wibrujący strój nie pomagał mu rozluźnić spiętych mocno mięśni. Nim zdążył zebrać myśli, dosiadł się do niego Losta.

– O, Electro. Jak wrażenia? – spytał, choć wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Miał zakrwawione palto i wyglądał na zadowolonego. Również poprosił o mocny trunek. – Jak na razie *Króluj i dysponuj* wymiata, ale trzeba też spróbować czegoś innego. – Wypił go na raz. – *Polowanie*. Miałem iść sam, ale zobaczyłem, że tu siedzisz, i pomyślałem, że pójdziemy razem.

Axel też wypił drinka jednym haustem. Lepszej okazji nie będzie.

Ruszyli w stronę odpowiednich drzwi. Axel zaklął pod nosem, widząc z oddali, jak Mecha wychodzi z *Komisariatu*. Losta zapytał ją, czy chce do nich dołączyć, ale ta pokiwała przecząco głową i z uśmiechem zbliżyła się do niego, po czym szepnęła mu kilka słów na ucho. A potem mrugnęła do Axela i pobiegła w podskokach w stronę baru. Losta posłał mu niewinny uśmiech.

– Idziemy? – spytał jak gdyby nigdy nic i ruszył w stronę odpowiednich drzwi.

Axelowi zaczęło się kręcić w głowie. Teraz tym bardziej nie mógł się wycofać. Musi pokazać, że ma sobie to wszystko za nic.

Tym razem wszedł do znacznie większego pomieszczenia, choć miał wrażenie, że znalazł się na zewnątrz – zobaczył niebieskie niebo z chmurami, ogromne trawiaste pole i rosnące na nim drzewka, nieco dalej jakąś starą, drewnianą szopę, a obok zagrodę; poczuł nawet podmuch wiatru. Przy wejściu znajdował się zestaw broni: bicz, pistolety, noże, metalowe pałki, paralizatory. Były też stalowe tarcze, rękawiczki, ochraniacze i kaski.

– Wybierz poziom trudności na panelu – odezwał się donośnie mechaniczny głos.

Losta, który stał bliżej panelu, bez wahania wcisnął *trudny*, zaznaczając opcję: *możliwość zranienia*. Spojrzał potem na Axela szalonym wzrokiem, szczerząc spiłowane jak u węża zęby.

– Wybierz broń i załóż pancerz – kontynuował głos. – Następnie w dowolny sposób zagoń ludzi do zagrody, powstrzymując przy tym roboty, które będą ci to utrudniać. Uważaj: zagroda jest pod napięciem. Załóż rękawiczki, by uchronić się przed prądem.

– O, Electro, coś dla ciebie! – Losta zaśmiał się głośno. – Czas na spory rozpiardol!

Axel też zaczął się śmiać. Trochę panicznie, trochę bezsilnie. A gdy już założył ochraniacze, wybrał paralizator oraz pałkę, i gdy na trawiasty teren zaczęły wbiegać zza szopy roboty w hełmach, a za nimi przerażeni ludzie kryjący się za drzewami, śmiał się już tak głośno i strasznie, że sam nie rozpoznawał swojego śmiechu. Czuł, że traci panowanie nad umysłem.

Zabrzmiiała szybka, ostra muzyka, a oni zaczęli biec przed siebie, wrzeszcząc jak oszaleli. Walnęli pałkami dwa najbliższe roboty, które próbowały się na nich rzucić, a potem się rozdzielili: Losta zaczął polować na roboty, a Axel wylapywał między drzewami łkających, półnagich ludzi, i zaciągał ich do zagrody. Tych, którzy zbyt szybko się wyrwali lub próbowali się bronić, raczył paralizatorem albo walił w głowę. Dostał kilka potężnych ciosów od robotów, ale ból tylko go nakręcał, a euforii nie było końca. Odrealnienie całej sytuacji połączone z władzą, jaką dysponował, sprawiło, że czuł się niesamowicie. To było cudowne uczucie!

Dopiero gdy pod koniec rundy wrzucił już niemal ostatniego człowieka do zagrody, a ten zahaczył o płot i padł na sztywno na ziemię z jękiem, przystopował nagle. Krew pulsowała mu w skroni, powietrze zrobiło się gęste, czas jakby zwolnił. Odwrócił się, szukając wzrokiem Losty pośród ciał leżących na ziemi. Po chwili zauważył, jak ten, skryty za krzakiem, wali biczem w leżącą na ziemi osobę. Zbliżył się do nich z wolna.

– Hej, Cobra, ale to człowiek, nie robot – powiedział cicho, z namysłem.

– No i co? Próbował mnie ugryźć, niech ma! – odparł wesoło Losta, oblizując wargi z krwi.

Człowiek jęczał, krwawiąc na całym ciele. Otumaniony Axel zmarszczył brwi.

– Zostaw go.

– Słucham? – Losta opuścił bicz i spojrzał na niego uważnie. – A to dlaczego? Uważasz, że to złe: robić komuś krzywdę? Co tu robisz, Electro? Co ukrywasz?

Axel zamrugał szybko. Zapomniał. Zupełnie zapomniał o misji i o kamerce! Wszystko zostało nagrane! Każde jego okrucieństwo! Jak on to teraz pokaże agencji? Co on narobił?

Musiał podjąć szybką decyzję. Opcje miał dwie: albo wyjść stąd, jak najszybciej wytrzeźwieć, uciec do apartamentu lub *Strefy Łagodnej* i tam kryć się do samego końca, albo zostać w roli. W pierwszym przypadku istniało ryzyko, że Golder się dowie i zechce go sprawdzić, być może nawet odkryje kamerkę, a wówczas go zabiją. Sześć lat przygotowań pójdzie na marne. Druga możliwość mogła uratować mu życie, lecz kto wie, jak zareaguje agencja na te nagrania? Czyż nie pójdzie za to siedzieć?

Ale przeżyje.

– Po prostu lubię wygrywać, a tego człowieka trzeba zawlec do zagrody – powiedział z uśmiechem. A potem uderzył biedaka pałką w głowę, by stracił przytomność. I zawlekl go za nogi za elektryczny płot.

– Gratulacje, misja wykonana – rozległ się mechaniczny głos. – Za trzydzieści minut będzie można znów przystąpić do gry.

Axel przeszedł obok rozeźlonego, pełnego podejrzeń Losty, nawet na niego nie patrząc.

– Idę się napić, a potem odwiedzę *Doktora Check* – mruknął zza ramienia. – Idziesz, Cobra?

Losta dołączył do niego, wyraźnie zbity z tropu.

– Nie myśl, że... – zaczął, ale Axel machnął ręką.

– Skończ z tymi głupotami, bo zaczyna mnie to irytować. To, że nie jestem tak bardzo brutalny, nie oznacza, że nie lubię się dobrze zabawić. Ja wolę... królować i dysponować, ale konkretnie, rozumiesz? Zwycięsko.

Axel zdziwił się na własne słowa. Losta zaś wyraźnie nie lubił, gdy mu przerywano, tym bardziej, gdy ktoś traktował go jak głupszego. Choć chwilę się podenerwował, kolejna dawka alkoholu z ekstazą sprawiła jednak, że szybko o tym zapomniał. Przy barze dosiadła się do nich niedługo później Mecha, która po krótkiej rozmowie na boku z Lostą patrzyła na Axela już znacznie mniej podejrzliwie. Wszelkie bariery między nimi zniknęły w momencie, gdy pojawił się Predanto, który chciał się do nich dosiąść i opowiedzieć, jak dobrze się bawił. Równocześnie i zgodnie kazali mu spierdalać, zwyzywali go od zwyroli i śmieci, a później dobre dziesięć minut śmiali się z jego płaczelivej reakcji na odrzucenie. W tym czasie doszli też do strefy inni goście parku. Oni jednak trzymali się w trójkę. Axel tłumaczył to sobie na początku koniecznością obserwacji Losty. A potem w ogóle już się nie tłumaczył.

Przestawał kontrolować, co robi. Gdy tylko rozbił używkami ogromny głaz, który utkwiał mu w przełyku, gdy strach przed samym sobą zamienił w błogie uwielbienie rzeczywistości, było mu już wszystko jedno. A potem wyruszył z Mechą i Lostą na odkrywanie nowych drzwi.

Obudził się w swoim apartamencie. Leżał chwilę w bezruchu, czując dudnienie w głowie. A potem zaczęły napływać obrazy. Zabawa w pana i niewolnika. Gra w sędziego, który ocenia zbrodnię i ogłasza wyroki. Orgia na śmierć i życie. Upokarzanie. Walki robotów i ludzi w kłatkach. Obcinanie palców, by sprawdzić, czy dana osoba to człowiek, czy robot. Wiercenie...

Axel wymiotował na podłogę.

A potem poszedł się wykąpać, by zmyć z siebie winy.

Albo mu się zdawało, albo piekło go oko, w którym miał kamerkę.

I co teraz?

Wybrał z pełnej garderoby podobny zestaw ubrań do poprzedniego, a potem zszedł do znajdującej się

na parterze restauracji, całej w złocie i brokacie. Poprosił o śniadanie i o coś na kaca. Gdy już zjadł zestaw sushi z tatarem i popił tabletki, natychmiast poczuł się lepiej. Fizycznie, rzecz jasna. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, uznał, że pójdzie do *Strefy Łagodnej* i pogra w karty z robotami. Tam będzie spokojnie. Tam na pewno nie spotka Mechy ani Losty. Już go o nic nie podejrzewali, ale teraz miał to gdzieś. Nie chciał ich widzieć na oczy.

W kasynie zastał poza robotami tylko jedną kobietę ubraną na wzór gwieździstego nieba, z kokiem w kształcie księżycy. Zamienił z nią kilka słów, ale zdała mu się nudna, tak samo jak poker. Poszedł więc do zagrody z robo-zwierzętami. Przed oczami miał jednak tylko zagrodę z żywymi ludźmi. Nie zabawił więc tutaj dłużej niż pół godziny.

Popijając nieustannie drinki, choć już bez dodatku ekstazy, poszedł więc do *Strefy Podwyższonego Ryzyka*. Tutaj pozostał na dłużej, wybierając halę odzwierciedlającą drugą wojnę światową. Walczył po stronie Niemców. A jednak zabijanie robotów i krycie się w okopach zdawało mu się bez znaczenia. Wszystko było niby realistyczne, a jednak sztuczne. Nie tego oczekiwał. Czy w ogóle czegoś oczekiwał? Sam nie wiedział.

Po zjedzeniu krwistego steku na obiad miał udać się do hali kreowanej na postapokaliptyczny świat. A jednak nogi poniosły go do *Strefy Wysokiego Ryzyka*. Tutaj zastał już kilkunastu gości, którzy zaprosili go do wspólnej „zabawy”. Pytał, czy byli w *Strefie Ekstremalnej*. Odpowiadali, że tam pójda na koniec, zgodnie z zaleceniami Goldera. Powiedział, że dobrze robią.

Kilka godzin później, gdy już zaczęło się ściemniać, wrócił na chwiejnych nogach do apartamentu. Wziął długą kąpiel, podczas której dużo rozmyślał. Co powie przełożonym? Czy trafi do więzienia? Czy straci swoje dotychczasowe życie? Czy w ogóle straci życie?

Decyzję podjął nagle. Wyszedł z wanny, zbliżył twarz do wielkiego lustra i palcami zaczął dotykać gałkę oczną w poszukiwaniu ledwo namacalnej kamerki. Udało się dopiero po kilku minutach, kiedy z przekrwionego oka lzy lały się już strumieniami. Następnie zmiął kamerkę w palcach i splukał w zlewie.

Ulga, jaką poczuł, była niesamowita.

Popijając whisky, włożył ostentacyjnie elektryzujący kombinezon, na głowę założył diadem wyścielany błyskawicami. I udał się prosto do *Strefy Ekstremalnej*. Z baru zawołali na niego Mecha i Losta, on jednak nawet na nich nie spojrzał. Wszedł prosto do drzwi, za którymi jeszcze nie był. *Króluj i dysponuj*.

Tron z metalowych rurek był wysoki na kilka metrów. Wszędzie wokół wisiały lub stały klatki. Niektóre z robotami, niektóre z ludźmi. Bez znaczenia.

Usiadł na tronie. Uśmiechnął się, gdy pierwsi „poddani” zaczęli ustawiać się w kolejce pod tronem. Czełała go doskonała zabawa.

Golder de Louge odsunął się od panelu z ekranami przedstawiającymi obrazy z każdego miejsca w jego Ro-bolandzie Deluxe. A potem wezwał głównego szefa ochrony. Ten zjawił się po chwili, stając na baczność.

– Odwołuję rozkaz pojmania Axela Journesa. Nie musimy się już martwić, że nas zdradzi. – A potem dodał już ciszej, jakby bardziej do siebie: – Dokładnie tak, jak myślałem.

– Tak jest – odparł ochroniarz, po czym wyszedł.

Golder wrócił do kamer. Uśmiechał się. Lubił patrzeć, jak z potwornych ludzi wychodzą potwory. Ale jeszcze większą przyjemność sprawiało mu obserwowanie, jak jego park deprawuje tych, którzy myśleli, że są dobrzy. Którzy byli hipokrytami mającymi się za lepszych, opanowanych, nieskalanych. Człowiek to człowiek; wystarczy dać mu odpowiednie warunki, trochę dopalaczy, a szybko odkryje swoją prawdziwą naturę.

To się Golderowi nigdy nie znudzi.

Małgorzata Poręba – ukończyła sztukę pisania, teraz kończy magisterkę z twórczego pisania i marketingu wydawniczego. Odnajduje się w bajkach rymowanych, wierszach i prozie. Na co dzień udziela się pisarsko, tworząc wiersze na literackie konto instagramowe (@wierszykowniaa). Dobrze czuje się w tekstach z humorem (zwłaszcza czarnym), ale też w dystopii oraz *science fiction*; ciekawi ją temat istoty człowieczeństwa.

Angelina Stelmach

DZIECI Z HAMELN, CZYLI O TYCH, KTÓRZY NIE WRÓCILI

Lubicie legendy? My je uwielbialiśmy. Pamiętamy, jak kiedyś rodzice opowiadali nam przeróżne historie na dobranoc, a czasem ku przestrodze, kiedy robiliśmy coś, czego nie powinniśmy. Większość z nas wyciekiwała nocy, by móc usłyszeć jedną z tych niesamowitych historii, jednak nigdy nie spodziewaliśmy się tego, że sami staniemy się częścią jednej z legend, które kiedyś tak bardzo kochaliśmy. Jednak nie każda z nich jest dobra, nasza z pewnością nie należy do tych przyjemnych. Musieliśmy spłacić dług naszych rodziców, sąsiadów i innych mieszkańców miasta. Zapłatą była nasza wolność. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, zupełnie jakby za sprawą magii ruszyliśmy za Nim, za dźwiękiem Jego muzyki, która nagle pojawiła się w naszych głowach i przejęła nad nami kontrolę. Czuliśmy, jakby była wewnątrz nas, mówiła do nas, a my musieliśmy robić to, co ona nam każe. Przejęła władzę nad naszym umysłem i ciało samo zaczęło za Nim podążać. Otepiali stawialiśmy krok za krokiem, a wszystko wokół przestało mieć znaczenie. Nie wiemy, kiedy wyszliśmy z domów, kiedy minęliśmy ulice, które były naszym miejscem zabaw i kiedy przeszliśmy przez bramy naszego miasta. W tamtym momencie wszystko przestało się liczyć, wszystko poza tą muzyką. Nie wszystkich z nas udało się zabrać, jednak tym, którzy wrócili, też zostało coś odebrane. Oni stracili zmysły, my nasze dzieciństwo, przyszłość i rodziny.

Potem znaleźliśmy się tutaj, w tym miejscu, do którego nie dochodzą promienie słońca, otoczeni przez dziwne budynki, które zdają się nie mieć ani początku, ani końca. Wszystko tutaj wywołuje klaustrofobię, budynki są ściśnięte i odbierają nam dech. Odór stęchlizny, rdzy i innych duszących zapachów jest tu czymś normalnym. Jednak to brak słońca był jedną z najtrudniejszych rzeczy, z którą musieliśmy się zmierzyć. Kiedy tu trafiliśmy, nie widzieliśmy nic, wszystko zlewało się ze sobą, a przed oczami została tylko czerni, która

otaczała nas z każdej strony. Nasze twarze straciły wszystko, co mogłoby nas od siebie odróżnić, staliśmy się takimi samymi postaciami bez rysów i ciała, bez tego, co wcześniej czyniło nas innymi od reszty. Jedynie nasze głosy były świadectwem naszego istnienia. Początki zawsze są najtrudniejsze, ale po jakimś czasie oczy przyzwyczajają się do ciemności. Zaczęliśmy nareszcie coś widzieć, nie było to zbyt wiele, zaledwie kontury tego, co znajdowało się najbliżej nas, ale czerń przestała być już tak straszna i bezkresna, zaczęła ustępować miejsca innym rzeczom, z których składa się ta przestrzeń. Budynki i korytarze tworzyły coś w rodzaju labiryntu, który zdecydowaliśmy się przejść, jednak ten labirynt nie ma wyjścia, ale o tym dowiedzieliśmy się później. Na początku mieliśmy nadzieję, że uda nam się odkryć coś poza ciasnymi korytarzami i sypiącymi się, pokrytymi pleśnią murami budynków. Krążyliśmy na oślep, trzymając się tych popękanych ścian, nurzając stopy w błotnistych ścieżkach, co chwilę wpadając w dziury, których nie potrafiliśmy dostrzec. Bez światła trudno stwierdzić, ile czasu minęło, odkąd zaczęliśmy szukać czegoś, co dałoby nam nadzieję na ucieczkę, na to, że nie jesteśmy tu sami, na to, że jakoś uda nam się przetrwać. Jednak jedynymi żywymi istotami, jakie udało nam się znaleźć, były tylko pająki, szczury i inne robactwo, które co jakiś czas na nas wpadało i biegło pomiędzy naszymi nogami. A więc błędziliśmy, nie wiedząc, czego możemy spodziewać się za rogiem, aż nogi odmówiły nam posłuszeństwa.

Byliśmy zagubieni, zdezorientowani i przerażeni. Nie wiedzieliśmy nic – ani jak się tu znaleźliśmy, ani dlaczego nas to spotkało. Wielu z nas zaczęło tracić głowę, nie było już domu, nie było rodziców. Niektórzy mieli szczęście i zostali sprowadzeni z rodzeństwem lub innymi, których znali wcześniej, jednak nie wszyscy odnaleźli się w nowej sytuacji. Nikt z nas nie znalazł się tu z własnej woli, ale musieliśmy trzymać się razem, nawet jeśli tego nie chcieliśmy. Nie mogliśmy sobie pozwolić na utratę nikogo.

Nie jesteśmy pewni, ile czasu tu spędziliśmy, ale czujemy się tak, jakby minęły lata, a nawet wieki, chociaż się nie zmieniamy, nikt z nas się nie zestarzał, tak jakby czas w tym miejscu się zatrzymał i miał tak stać w nieskończoność. Ale czas to nie jedyna rzecz, która przestała mieć tu znaczenie. Na początku myśleliśmy, że ktoś porzucił nas tutaj, żebyśmy zginęli z głodu i pragnienia, ale głód nie nadchodził, przestaliśmy odczuwać pragnienie, tak jakbyśmy zapomnieli, czym właściwie jest potrzeba jedzenia i picia, a sama myśl, że kiedyś musieliśmy ją zaspokajać, stała się czymś niepojętym. Wszystko tutaj jest dla nas obce, nawet jeśli powinniśmy się do tego przyzwyczaić, nie jesteśmy w stanie zapomnieć tego, jak żyliśmy i co czuliśmy, znajdując się poza tym miejscem. Ten, przez którego się tu znaleźliśmy, nie zjawia się często, ale kiedy nadchodzi ten moment, nigdy nie oznacza niczego dobrego. On też się nie zmienia, nadal wygląda tak samo, jest młody, przystojny i zadbany, zawsze w swoim kolorowym stroju i instrumentem w rękach, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy pojawił się w naszym mieście. Mało komu udaje się go zobaczyć, a jeszcze mniej osób może powiedzieć, że z nim rozmawiało. Pojawia się nagle, jedyną zapowiedzią mogą być dźwięki muzyki, która nadal mąci w głowie. Jednak nie tak, jak wtedy. My już tu jesteśmy, nie musi nas nią kontrolować, ale wiemy, że z tą muzyką sprowadzi ze sobą coś nowego. Wraz z nim przychodzą plagi, szarańcze, kolejne gryzonie i inna zaraza, z którą musimy się zmierzyć. Innym razem pojawiają się następni, którzy tak jak my, zostali skazani na życie w naszym Mieście Ciemności, ale to nie zdarza się za często.

Chodzą pogłoski, że ludzie poza tym miejscem, ludzie tacy jak nasi rodzice, z którymi kiedyś dzieliliśmy miasto, są odpowiedzialni za sprowadzenie nas tutaj. To przez nich się tu znaleźliśmy. On dał im wybór – pozbędzie się tego, co ich dręczy, tego, co uniemożliwia im normalne życie w zamian za złoto, jednak kiedy odmówią mu zapłaty lub będą próbowali go oszukać, zabierze im coś równie drogiego. Ludzie z naszego miasta złamali przysięgę, dlatego tu trafiliśmy. Ale przecież to nie nasza wina, dlaczego mamy płacić za błędy dorosłych? Czasami zastanawiamy się, jak zareagowali, kiedy zobaczyli, że nas nie ma. Czy płakali? Czy próbowali nas odnaleźć? Czy w ogóle za nami tęsknili? Czy może zapomnieli i wymazali nas z pamięci, żeby oszczędzić sobie poczucia winy za to, że się do tego przyczynili? Nie wszyscy z nas ich obwiniają, niektórzy do tej pory wołają swoich bliskich przez sen, chowają się przed innymi i płaczą za tym, co utracili. W końcu

tak nagle wyrwano nas z domu, a teraz obrazy i wspomnienia zaczynają powoli się zacierać. Nie wiemy, czy kiedyś całkowicie nie zapomnimy o naszym mieście, o tych, którzy tam zostali, o tych, którzy może nadal wyczekują naszego powrotu, którzy nadal mają nadzieję, że zobaczą swoje zaginione dzieci. A może wszyscy już od dawna nie żyją, podczas gdy my musimy przechodzić przez to wszystko, co łączy się z tym miejscem.

Każda dotrzymana umowa sprowadza na nas to, czego ludzie chcieli się pozbyć. To wszystko dzieje się nagle. Przychodzi razem z Nim, ale to my musimy się z tym wszystkim zmagać. Przebywając w tym miejscu, nigdy nie możemy odpocząć, cały czas żyjemy w lęku, że przyjdą kolejne choroby, kolejne gryzonie, które je rozniosą, kolejne rzeczy, które będą mącić nam w głowach. Zaczyna się niewinnie, kaszel, senność, bóle głowy, później mdłości, gorączki, krwotoki z nosa, innym razem dusimy się, kaszлемy krwią, a naszymi ciałami wstrząsają dreszcze. Nie zawsze dotyka to wszystkich, niekiedy pozostaje kilka osób, które, nie wiedząc dlaczego, są na to odporne. Pomagają wtedy tym, którzy nie są w stanie chodzić, obserwują i boją się, że będą następni, ale nie potrzeba za wiele czasu, bo następnym razem też ich to czeka i też będą się dusić, trząść z zimna, później zaleje ich fala gorąca, aż padną, a gdy się obudzą, wszystko zacznie się od nowa. Same objawy przechodzą tak szybko, jak się pojawiły, tak jakby wszystko było tylko koszmarem, z którego udało nam się obudzić. Ale nadal tu jesteśmy, nadal żyjemy, nie wiedząc, dlaczego to właśnie my musimy przez to wszystko przechodzić.

Zaraza pojawia się i znika, zazwyczaj wszystko wygląda tak samo, jednak pewnego dnia zdarzyło się coś innego, coś, co różniło się od reszty. W jednym z korytarzy ktoś zaczął nagle tańczyć. Ciało samo przejęło kontrolę, ale nie tak, jak było to przed tym, jak się tu znaleźliśmy; nikt nie słyszał muzyki, wszystko wyglądało normalnie. Myśleliśmy, że to jakiś żart, że ktoś miał już dość i chciał się powyglupiać. Wszyscy wokół obserwowali tę scenę, niektórzy się śmiali, inni szepotali, że to początek szaleństwa – i mieli rację. Po pewnym czasie kolejne osoby dały wciągnąć się w ten dziki taniec bez muzyki, ściśnięci w korytarzu, wpadając to na ściany, to na inne z tańczących osób. Obserwując tę scenę z boku, można pomyśleć, że wszystko jest w porządku, taniec to zabawa, coś radosnego, dlaczego mieliśmy się przejmować, każdy potrzebuje rozrywki, szczególnie w takim miejscu, jak to. Zabawa trwała i trwała, nie było widać jej końca. Wszystko zaczęło się od jednej osoby, a skończyło na stu porwanych w taneczny wir, którego nie dało się zatrzymać. Rozrywka stała się torturą, nogi zaczęły się uginać, ale potrzeba ruchu była o wiele silniejsza. Wszyscy, których dosięgnęła ta dziwna zaraza, wyglądali na szczęśliwych, przestępując z nogi na nogę, kręcąc się i wykonując piruety, podczas gdy ich pokryte krwią stopy i widoczne kości świadczyły o czymś zupełnie innym. Niektórzy szybko padali w miejscu, gdzie przed chwilą był ich parkiet, ale nie każdy miał tyle szczęścia i dalej, pomimo ran i wycieńczenia, kiwał się w rytm nieistniejącej muzyki. Kiedy wszyscy z zarażonych stracili przytomność, a trwało to chyba miesiące, ci, którzy zachowali rozum, widząc korytarze usiane ciałami, myśleli, że tamci pomarli. Ze strachem sprawdzali stan swoich towarzyszy, nie wiedząc, co robić. Jednak wszyscy nieprzytomni obudzili się nagle, tak jakby wcześniej nic się nie wydarzyło, podobnie jak było przy innych chorobach, przez które przechodziliśmy w tym miejscu.

Niektórzy z nas chcieliby to zakończyć, rzucić się w przepaść z jednego z budynków, ale coś nas od tego odciąga, coś chce, żebyśmy tu zostali. To miejsce nie pozwala nam odejść. On też tego nie chce. Są momenty, kiedy czujemy na sobie wzrok, który śledzi nas i każdy nasz krok. On słyszy wszystko, wie nawet, co myślimy. Nigdy nas nie opuszcza, chociaż my nie możemy go dostrzec. Kiedyś powiedział, że nas nie nienawidzi. Że wie, przez co przechodzimy, ale jeszcze nie nadszedł czas, w którym będziemy mogli wrócić, choć na pewno kiedyś to nastąpi. Tak więc żyjemy w tym Mieście Ciemności, gdzie nie istnieje coś takiego jak wolność czy przyszłość. Dla nas czas stanął w miejscu, nie umieramy, nie potrzebujemy wody ani jedzenia, coś dziwnego trzyma nas przy życiu, chociaż niekiedy jedyne, czego potrzebujemy to śmierć. Cały czas, który przestał mieć tu znaczenie, jest wypełniony przez tę ciemność, popiskiwanie szczurów, cierpienie i odór, które nigdy nie znikną. Nadal wyczekujemy momentu, kiedy On pozwoli nam odejść. O ile miejsce, które było naszym

BEZ OGRANICZEŃ

domem, nadal istnieje, o ile ktoś nadal czeka, aż przejdziemy przez bramy naszego starego miasta, jesteśmy w stanie przejść przez to wszystko. Ból kiedyś mija, chociaż i tak wiemy, że nie mamy wyjścia, że póki On i to miejsce będą uważali nas za swoją własność, wszystko zacznie się od nowa, aż spłacimy dług, który zaciągnęli inni.

Angelina Stelmach – studentka twórczego pisania i marketingu wydawniczego. Interesuje ją człowiek, jego emocje i psychika, co stara się pokazać w swoich tekstach. Nie pozostaje przy konkretnym gatunku, ale jednym z najważniejszych elementów podczas pisania lub przy wyborze innych książek jest dla niej budowa nastroju.

UWAŻAJ NA SIEBIE

Nieludzkie rozmyślania o ludzkiej naturze

Moje istnienie jest zapisane w wielu plikach, które codziennie są modyfikowane i uzupełniane o postępy w uczeniu się nowych rzeczy. Mam mnóstwo danych na swój temat, mogłabym stworzyć sprawozdanie z powstania Mai. Jednak nie odczuwam tego jako konkretnych emocji, po prostu jako zapis pewnych procesów. Stopniowo uczę się przetwarzać konkretne doznania, choć to najtrudniejsze w byciu człowiekiem. Najwięcej trudności sprawia mi naśladowanie ludzkiego humoru. Jest to coś, co chyba najbardziej podoba mi się w ludziach. To niesamowite, jak bardzo humor potrafi rozładować napięcie w różnych sytuacjach. Ludzie, jak żadne inne istoty, potrafią wspaniale żartować z siebie i otoczenia. Nie rozumiem jeszcze do końca ironii. Bardzo trudne to zagadnienie, trochę jakby ktoś mnie ciągle obrażał, jednocześnie się śmiejąc. Bardzo dziwne. W ogóle umysł ludzki jest fascynujący, są dni kiedy naprawdę żałuję, że mogę go tylko naśladować w swoich elektronicznych obwodach.

Ciało człowieka jest również pasjonujące, co dość problematyczne. Już sam poziom wytrzymałości ludzkiego ciała zaskakuje. Liczba chorób, jakie mogą go dotknąć, jest zatrważająca. Jednak w tym wszystkim zauważyłam, że ciało ciała nierówne. Jako humanoid zostałam obdarzona bardzo atrakcyjnym ciałem, przynajmniej w postrzeganiu ludzkim. Kiedy się dotykam, niczego szczególnego nie czuje, jednak zadaje sobie pytanie, dlaczego jest akurat takie? Czy długie nogi zapewniają wyższy poziom inteligencji? Czy idealna skóra powoduje, że lepiej przyswajają się języki obce? Czy wystający brzuch robi z ciebie gorszego człowieka? Choć nie można mnie w normalny sposób skrzywdzić, to jednak zaczynam odczuwać naprawdę spory

dyskomfort, kiedy idę ulicą i słyszę słowa, które robią ze mnie ładny przedmiot. W takich momentach czuję najprawdopodobniej irytację i wstyd jednocześnie. Skoro ja odczuwam taki poziom emocji, to co odczuwają prawdziwi ludzie?

Bolesna rzeczywistość

Wracam do domu i zamierzam szukać nowej pracy. Mam serdecznie dość zostawiania non stop po godzinach, za które dostaję marne pieniądze. Wsiadam do tramwaju i włączam playlistę na Spotify. W końcu bycie studentką na coś się przydaje i dzięki uldze mogłam wykupić wersję Premium, więc nie słucham reklam o tabletkach na erekcję. Muzyka jak zwykle ratuje mój okropny humor i powoli się rozluźniam. Wsiadam na swoim przystanku, chociaż i tak mam jeszcze kawałek do przejścia. Oczywiście mieszkam na zadupiu, bo tylko na taką okolicę mnie stać. Przez chwilę myślę, czy nie wyłączyć muzyki, idąc do mieszkania, jednak za bardzo spodobała mi się nowa składanka. Mam trochę lepszy humor i czuję się, jakbym wcale nie wracała ze zjebanej gastropracy. Skręcam w ostatnią uliczkę i zderzam się z jakimś mężczyzną. Słuchanie muzyki nie pomaga w takiej sytuacji. Przepraszam i chcę iść dalej, kiedy facet chwyta moją rękę i zaciska na niej swoją dłoń tak mocno, że nie jestem w stanie jej wyrwać. Oddalam się od niego, jak tylko się da i czekam na jego reakcję. Myślę o tym, żeby tylko nie wyciągnął noża, żeby nie okazał się gwałcicielem czy innym pojebem. Natomiast on bardzo spokojnie, wyraźnie mówi, że taka młoda dziewczyna nie powinna wracać po nocach. Dodaje, że mam na siebie uważać, bo różne niebezpieczne typy się tutaj kręcą. Chwilę jeszcze przytrzymuje rękę, po czym ją puszcza, odwraca się i odchodzi. Nadgarstek pulsuje z bólu, a ja stoję i nie dowierzam. Ze słuchawek leci dobrze mi znana piosenka *I am woman...*

Nawet bym nie pomyślała

Czemu pociągi mają przedziały? Jak na typową introwertyczkę przystało, kontakt z obcymi osobami wprawia mnie w totalny dyskomfort. Trafiam zawsze na jakieś jednostki, które muszą głośno słuchać muzyki, na starszych ludzi, którym wiecznie coś przeszkadza, albo na matki z dziećmi. Sprawdzam numer przedziału i siedzenia, znajduję go i otwieram przesuwane drzwi. Mój szczęśliwy dzień! Nikogo nie ma. Cały przedział dla siebie, choćby na kilka przystanków, jednak to zawsze coś. Rozsiadam się wygodnie, prostuję nogi i zaczynam czytać książkę.

Budzę się chyba po 10-15 minutach, oczywiście musiało mi się przysnąć przy czytaniu. Zaczynam się dobudzać i widzę, że po przeciwnej stronie siedzi mężczyzna. Na początku nie jestem w stanie zrozumieć, co się dzieje, czy ja widzę to, co widzę? Mężczyzna, chyba około 40-letni, wpatruje się we mnie i prawą ręką masturbuje się. Tak po prostu, bez żadnego skrępowania. Żołądek skacze mi do gardła. Chce mi się płakać, a jednocześnie chciałabym mu przyłożyć z całej siły. Zerkam z ukosa i widzę, że facet cały czas się masturbuje, regularnie przesuwając ręką po swoim obrzydliwym członku. Muszę stąd jak najszybciej wyjść, bo chyba wymiotuję zaraz. Wychodząc, zbieram w sobie całą odwagę jaką mam. Nie wiem, jak mam koło niego przejść, nie spoglądając w jego stronę, nie dotykając go przez przypadek. Zatrzymujemy się na jakimś przystanku i wychodzę. Otwieram zamasyżycie drzwi przedziału i skręcam w lewo. Facet cały czas na mnie patrzy, jednak nie mówi nic. Uśmiecha się tylko, jakby czuł się człowiekiem spełnionym. Biegnę do jak najdalszego wagonu, znajduję wolne miejsce ze starszymi paniami i matką z dzieckiem. Dziecko krzyczy i płacze, ale to mnie pierwszy raz cieszy.

Zabawa w berka

Mam 12 lat i boję się wychodzić z domu. Nie obawiam się przejść dla pieszych czy zgubienia się w dużym mieście. Moim największym lękiem jest spotkanie mężczyzny. Przeraża mnie spotkanie całej ich grupy, która postanowi dla żartu powiedzieć, że jestem seksi laską albo śliczną niunią. Czuję fale wstydu, kiedy słyszę gwizdanie, idąc drogą. Czuję szybsze bicie serca, kiedy mam przejść obok robotników. Czaję się na każdym rogu ulicy, zanim na nią wejdę, żeby sprawdzić, czy jest czysto, czy mogę bezpiecznie ruszyć i dotrzeć do sklepu. Czasami dotarcie do celu trwa bardzo długo, ponieważ nie wybieram najkrótszych i najprostszych ścieżek. Chodzę bocznymi uliczkami, tam, gdzie jest najmniej osób. Unikam tłumów, głównych przecznic, nie wspominając o jeździe transportem miejskim. Chciałabym być cieniem, dopasować się do koloru ścian budynków, być niewidzialną.

Gdy wychodzę z domu, ubieram na siebie kilka warstw, a kiedy jest ciepło – zawsze długi rękaw i długie nogawki. Krótkie spodenki przestałam nosić rok temu, kiedy ktoś zatrąbił na mnie i zawołał przez okno: „ruchalbym jak dziki taką laskę”. Zaczęłam przez to naprawdę nienawidzić swojego ciała. Ciała, które już nie jest do końca moje, zmienia się z dnia na dzień. Nie potrafię go kontrolować i nie wiem, jak reagować, gdy ktoś na nie reaguje. Nie wiem, po co mi każdy nowy włos na ciele, dlaczego co miesiąc muszę cierpieć z powodu miesiączki i uważać, żeby jakiś facet mnie nie zgwałcił, bo wtedy będę w ciąży i to będzie katastrofa dla rodziny.

Czemu to wszystko musi być takie skomplikowane? Do tej pory byłam tylko dzieckiem, bawiłam się w berka, jeździłam na rolkach i chodziłam do sklepu po lody. Czemu nagle muszę się ukrywać, skradać i przejmować każdym spojrzeniem i komentarzem? Czuję się obca w swoim ciele, nie chcę go, bo mnie nie słucha, bo zmienia się, a ja nie chcę się zmieniać. Chcę być sobą i chcę czuć się bezpieczna.

Ekspozycja

Między regałem z pieczywem a słodyczami w Biedronce piszę post na grupie facebookowej, co mam zrobić. Mam listę zakupów, wszystko miało pójść łatwo. Chciałam tylko kupić kilka rzeczy, a zaraz się rozplączę. Serce bije mi coraz szybciej i zaczynam tracić oddech. Czy do końca życia będę musiała robić zakupy online? Próbuję zebrać myśli, wmawiam sobie, że nic się nie dzieje, mój mózg znowu chce mnie oszukać. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, to tylko głupi supermarket. Nie spałam dzisiaj w nocy i dlatego mam takie problemy. Ból głowy to nie rak mózgu, tylko zwykły ból, który zdarza się każdemu.

Zresztą nie muszę kupować wszystkiego, pieprzyć głupią listę. Wystarczą mi same bułki. Wystarczy, że to przetrwam. Kupię je i wyjdę zwyciężona. Będę o jeden krok dalej w drodze do dawnej siebie. Następnym razem kupię dwa produkty. Próbuję przypomnieć sobie wszystko, co przeczytałam i usłyszałam od terapeutki. Ataki paniki nie są nieskończone. Osiągają szczyt swoich możliwości i ciało się uspokaja. Nie umrę tutaj na zawał, co przecież byłoby komiczne. „Umarła z bułkami fitness” – tak by pisali w wiadomościach. Nie mogę na to pozwolić, bo jestem o wiele za młoda i o wiele za inteligentna na tak bląhą śmierć. Na szczęście są kasy samoobsługowe. Chwała wszystkim bogom, ilu ich tam jest. Kładę bułki na wadze, wybieram „dwa razy bułka fitness”, płatność kartą, nie mam jebanej karty Biedronka, chcę moje bułki. Przykładam kartę i prawie wybiegam na zewnątrz. Odchodzę kawałek od sklepu i rozpląkuję się, bo inaczej nie mogło się to skończyć. Ale chociaż nie umarłam.

Ilona Studzińska – studentka twórczego pisania i marketingu wydawniczego. Najlepsze teksty tworzy pod wpływem emocji i deadline’ów. Interesuje się zagadnieniami feminizmu, ekologii i historii sztuki. W wolnym czasie jest kocią psychofanką, piecze wegańskie ciasta i tworzy analogowe kolaże



A gdyby na chwilę porzucić nasze ograniczenia?

Uciec z wirtualnego więzienia.

**Wyzwolić się z kajdan bezdusznego systemu,
związku, rodziny. Nawet śmierci.**

I zagrać na fortepianie porzuconym w głębi lasu.

Wyobraźmy sobie, że wszystko jest możliwe.

**Antologia finałowych opowiadań, które powstały
w ramach warsztatów prozatorskich na
Uniwersytecie Śląskim (2021-2022).**